AS



Nr. 30.
22 WRZEŚNIA 1935

W takt melodii

NASZ WIELKI KONKURS NA NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.







„Katan-gara“ — Tarnów.

Na prawo: P. Janina Kurantówna — Lublin.

Poniżej: „Azais“ — Radomsko.

P. Z. Łuszczewska — Łódź.



W kole: „Bogusia“ — Nisko.



Dnia 15. października zamykamy nasz wielki konkurs na „Najpiękniejszy uśmiech“ z podanemi już w ubiegłych numerach naszego pisma cennemi nagrodami. Jesteśmy przekonani, iż naszych wyborów nikt bojkotować nie będzie, lecz wszyscy, którzy znaleźli już swe ideały w reprodukowanych fotosach, jak najszybciej prześlą swe głosy, załączając kupon, wydrukowany w tym numerze na str. 26.

Dziś reprodukujemy cztery pełne wyrazu uśmiechy pań i jednego młodzieńca. Sumienni nasi „elektorzy“ będą mieli dość trudności w wyborze najpiękniejszego uśmiechu.

Przypominamy jeszcze kandydatom i kandydatkom, ubiegającym się o nagrody, iż nadesłane fotografje powinny mieć charakter artystyczny.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 30 **Niedziela 22 września 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 30-GO:



Mary Astor, jedna z najpopularniejszych artystek srebrnego ekranu, uprawia z zamiłowaniem sport żeglarski. Specjalnie dla niej zbudowana łódź żaglowa odznacza się oryginalnemi kształtami i wzbudza zainteresowanie nietylko fachowców, ale i licznych na kalifornijskiem wybrzeżu kajakowców.

PAŁAC DOŻÓW



Narożna głowica podcieni.



„Scala dei Giganti" (schody olbrzymów).
***Na prawo:** Pałac Dożów widziany od strony wybrzeża.*



Podobnie jak dzieje Polski zawarte są w murach Zamku i Katedry na Wawelu, tak w Pałacu Dożów i kościele św. Marka w Wenecji odzwierciedla się historja potężnej niegdyś Rzeczypospolitej, królowej mórz i ziem zamorskich. Kto Wenecji nie zna, ten marzy o zobaczeniu tego w swym rodzaju jedynego na świecie miasta, a kto ją raz oglądał, ten zawsze za nią tęskni.

Zdaje się, że nie architekci wprawni w swym zawodzie, kierujący się zastanowieniem, ale jakieś potężne duchy, obdarzone niezwykłą fantazją, budowały Pałac Dożów i kościół św. Marka. Wschód posiadał zawsze więcej wyobraźni od zimnego Zachodu, a ze Wschodem Wenecjanie pozostawali w najżywszych związkach. Zewnętrzna strona Pałacu Dożów zdaje się być zbudowana naodwrót, bo na dolnej lekkiej części, o piętrowych podcieniach, spoczywa jednolita górna bryła, przerwana tylko oknami. Wrażenie zwiększa się od strony morza, gdyż zdaje się, że kolumnady, rzeźby i ozdoby tańczą, odbijając się w falach.

Resztki murów pałacu z najdawniejszych czasów Wenecji, niewidzialne już, bo zakryte marmurowemi płytami, rzeźbami i pomnikami zachowały się w części przylegającej do kościoła św. Marka. Od zewnątrz wstawiono tu w narożnik, pewnie z Carogrodu przywiezioną, porfirową rzeźbę, przedstawiającą czterech wojowników, czy wodzów bizantyńskich, obejmujących się na znak przymierza. Od strony podworca postawiono tu renesansowy pomnik księcia Franceska Marji z Urbino (r. 1477), naczelnego wodza wojsk weneckich i ozdobny łuk doży Foscari ze sławnemi posągami Adama i Ewy, dziełami Antonia Rizzo. Gdy zewnętrzna strona pałacu utrzymana jest w gotyku, wnętrze jest przeważnie renesansowe.

Pierwotny pałac spalił się w r. 976, w czasie rozruchów przeciw tyrańskiemu doży Candianowi IV. Niebawem odbudowany za Piotra Orseolo, znów uległ pożarowi w 1105 r. W ciągu wieków trwały przebudowy i rozszerzania, w czasie których znikły obronne wieże. W latach 1310-40 pałac rozszerzono od strony południowej, tj. od wybrzeża Riva degli Schiavoni (Słowian przybywających z Istrji i Dalmacji). Podcienia przyziemia otrzymały potężne słupy, bez osobnych podstaw, a zato z bardzo ozdobnemi głowicami, a podcienia piętra słupy lżejsze, ale dwa razy gęstsze, nad łukami zaś jeszcze okrągłe prześwity. W r. 1340 Maggior Consiglio, czyli Wielka Rada, orzekła, że sala jej posiedzeń jest zanadto szczupła, tak że nad podcieniami wzniesiono nową olbrzymią i tak zaczęła się rozbudowa górnej części, początkowo nie będącej w planie. W r. 1404 dodano w środku fasady wspaniałe obramienie okna z sali Wielkiej Rady, tworzące rodzaj loggii.

Fasadę od strony małego placu czyli Piazzetty wykończono w latach 1423-38 w bardzo niezwykły sposób. Wielka Rada chcąc uniknąć dalszych olbrzymich wydatków, jakie pochłonęły roboty w XIV wieku, uchwaliła, że ktoby postawił wniosek prowadzenia nowych prac, zapłaci ogromną karę 1000 dukatów w złocie. Sam doża Tommaso Mocenigo (1413-23) zapłacił karę, aby stało się zadość niewzruszalnemu prawu i wniosek postawił. Niebawem jednak zmarł, tak, że dopiero jego następca Francesco Foscari przeprowadził dalszą rozbudowę zachodniej strony pałacu. W tej części w sąsiedztwie kościoła św. Marka, ukończono w r. 1442 bramę, zwaną Porta della Carta stąd, że tu zasiadali pisarze, sporządzający dla ludności podania do władz. W postaci doży Foscari'ego, klęczącego przed lwem skrzydlatym, pierwotna jest tylko głowa, gdyż całość odtworzono wedle dawnych wyobrażeń po zniszczeniu przez Francuzów, którzy po zajęciu Republiki w r. 1797 usuwali wszędzie herby Wenecji.

Po stronie wewnętrznej, podworzec Pałacu Dożów przedstawia zupełnie odmienny widok. Tylko niektóre łuki krużganków piętrowych są gotyckie, a pozatem panuje niepodzielnie przepyszny renesans z rozmaitych okresów. Naprzeciw głównego wejścia, które prowadzi przez Porta della Carta.



Strop sali Wielkiej Rady: „Triumf Wenecji", Paolo Veronese.



Studnia z bronzu (r. 1556) na dziedzińcu.

wznoszą się zewnętrzne schody, nader bogato rzeźbione z białego wapienia, zwane Schodami Olbrzymów „Scala dei Giganti", od dwóch ogromnych posągów Neptuna i Marsa, dzieł Sansovina. Na terasie u szczytu tych schodów koronowano dożów. W głębi na lewo w Podwórku Senatorów zbierali się dostojnicy w czasie uroczystości. Na pierwszem piętrze jest tu nad podcieniem kaplica św. Mikołaja, a na terasie drugiego, ogródek urządzony za doży Leonarda Loredan (1501—1521).

Główni architekci-rzeźbiarze przepysznego podworca Pałacu Dożów, z rodziny Lombardich i sławniejszy od nich Sansovino, są dla nas tem ważni, że wśród nich kształcił się Giovanni Maria Fabrucci, zwany Mosca, a od rodzinnej Padwy Padovano; twórca nagrobka Zygmunta Starego i biskupów Tomickiego i Gamrata w Katedrze na Wawelu, a Tarnowskich w kościele tarnowskim.

Na środku podworca dwa bronzowe ujęcia studzien, są przepysznemi dziełami rzeźby, prawie że wytworności złotniczej renesansu połowy XVI w.

Odmienną fasadę od strony kanału Rio di Canonica, w części ceglaną ukończono dopiero w r. 1550. Tu przesławny kryty Most Westchnień, Ponte dei Sospiri, łączy Pałac Dożów z więzieniem, zbudowanem za doży Pasquale Cicogna (1585-95). Więzień świata nie oglądał, a prowadzony na sąd srogich dziesięciu sędziów, Consiglio dei Dieci, tylko tu przez krótką chwilkę mógł rzucić okiem na niebo i gwarny port basenu św. Marka.

W podziemiach pierwszego piętra, zaraz za Schodami Olbrzymów, wmurowana jest tablica w bogatem ujęciu, rzeźbiona przez Aleksandra Vittoria, dana na pamiątkę pobytu Henryka Walezego, gdy ten po opuszczeniu Polski przejeżdżał przez Wenecję do Francji dla objęcia tronu. Dalej w Sali Czterech Drzwi (Della Quattro Porte) zawieszony jest wielki okazały obraz Andrea Micheli'ego, zwanego Vicentino, ucznia Palmy Vecchio, przedstawiający powitanie na Lido tego króla przez dożę, patrjarchę i dostojników, przy umyślnie wzniesionej bramie triumfalnej. W Izdebce Sztukaterji, wśród wielu malowideł stropu jest też portret Walezego pendzla Tintoretta.

Sztukaterje najwspanialszych schodów wewnątrz pałacu, zwanych Złotemi (Scala d'Oro), rzeźbił Alessandro Vittoria. Wchodziło się tędy do najgłówniejszych sal doży, senatu i kanclerza. Każda z urzędujących naczelnych władz Wenecji miała osobne pomieszczenie, a więc wspomniana Wielka Rada, Sąd Dziesięciu, Senat itd. Bogate niegdyś urządzenie wnętrz, jakie widzimy na obrazach, znikło za czasów Napoleona, dano potem jedynie wzdłuż ścian skromne ławy. Zachowała się zato większość malowideł stropów i obrazów ściennych, dzieł najgłówniejszych artystów weneckich, Tiziana, Paola Veronese, Tintoretta, Marka Vecellio itd. Niestety pożar zniszczył freski Tiziana, z których pozostała tylko olbrzymia postać św. Krzysztofa.

Rzeczpospolita chciała w dziełach mistrzów upamiętnić swe triumfy i zwycięstwa. I tak Palma Młodszy w sali Senatu wymalował dożę Franciszka Venier, przyjmującego hołd przyłączonych do Wenecji prowincji, Udine, Brescii, Padwy i Werony, dalej dożę Lorenza Loredan, pobudzającego Wenecję i jej lwa do walki z państwami sprzymierzonemi w Lidze w Cambray i t. d. Inni mistrze w sali Wielkiej Rady przedstawili podboje Zary, Konstantynopola, w innych bitwę pod Lepanto, wzięcie Cattaro i wiele podobnych.

Obok historycznych ukazują się malowidła alegoryczne, jak Paola Veronese olbrzymi przepyszny Triumf Wenecji na stropie sali Wielkiej Rady, Tintoretta Wenecja, jako królowa mórz na stropie sali Senatu, z bóstwami mitologicznemi, składającemi jej dary, to znów Tiepola Neptun obdarzający Wenecję w izbie Czterech Drzwi. Występują też obrazy z mitologji, jak w sali Anticollegio porwanie Europy Paola Veronese, Merkury i gracje Tintoretta, kuźnia Wulkana tegoż artysty, Minerwa, Mars i Wenus, Bachus, ofiarujący pierścień Ariadnie i tem podobne.

W dawnej zbrojowni Rady Dziesięciu zdołano zgromadzić najciekawsze okazy starej broni, zbroje i inne cenne przedmioty.

Na stropach sal Pałacu Dożów malowidła są ujęte w bogato rzeźbione złocone ramy, albo w sztukaterje. Zachowały się też wspaniałe odrzwia rzeźbione w marmurze, kominki itd.

Zwłaszcza wiosenną i letnią porą Pałac Dożów zwiedzają olbrzymie zastępy podróżnych ze wszystkich stron świata, oglądają i podziwiają bogactwa, które tu architekci, rzeźbiarze i malarze wykonali dla chwały niegdyś potężnej królowej mórz.

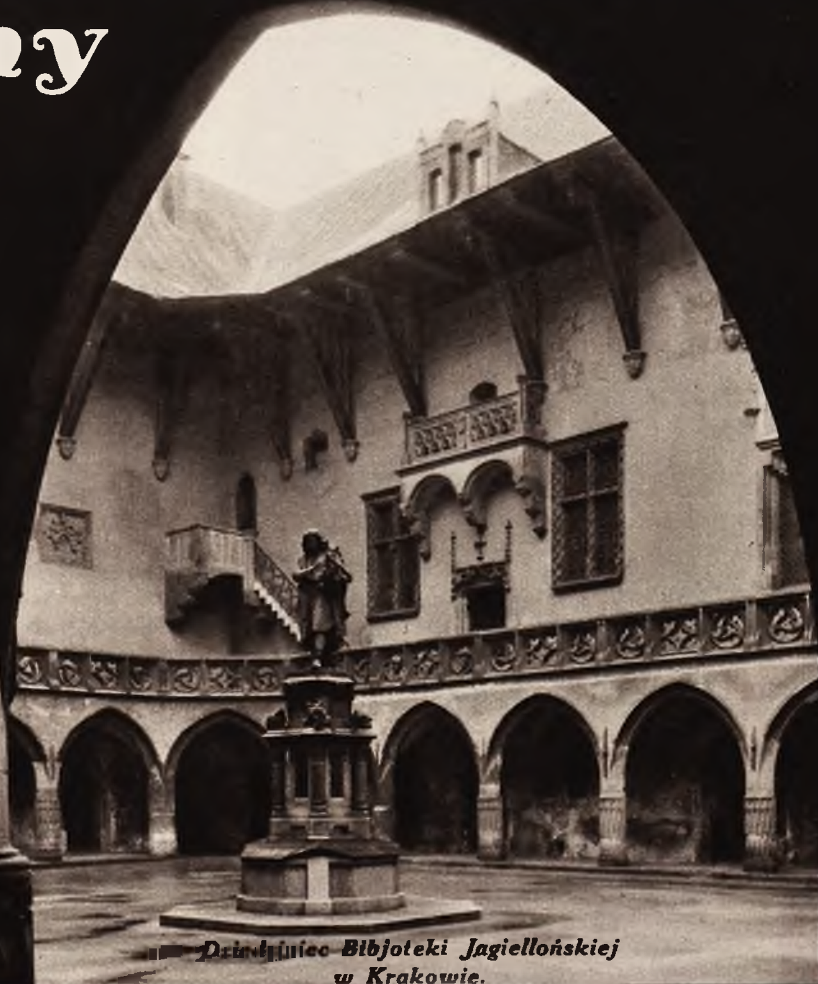
Ks. dr. Tadeusz Pomian Kruszyński.

Poniżej: „Neptun składa Wenecji swe dary", fresk. Battista Tiepolo.



Otrzęsiny

zwyczaj żakowski na rozpoczęcie roku szkolnego



Dziedziniec Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

Znaną jest niechęć, czy nawet pogarda z jaką patrzą studenci na swych młodszych kolegów, choć sami nie są wiele od nich starsi. Odczuwają to nietylko uczniowie, wstępujący do gimnazjum, ale nawet studenci pierwszego roku na uniwersytecie. Zbyt często daje im się uczuć, że są cotylko świeżo upieczonymi fuchsami.

Pocieszmy się, że dzisiaj na tem się kończy. Jeszcze parę dni, czy może parę tygodni potrwa ten wrogi i pogardliwy stosunek starszych do młodszych. Czas wszystko wyrównuje.

Dawniej jednak inaczej bywało. Nie tak łatwo było wejść w koło kolegów starszych i zadomowionych w ramach danej uczelni. Istniał cały szereg zwyczajów żakowskich, niejednokrotnie bardzo przykrych i dotkliwych, któremi chciano zaznaczyć, że w kandydacie na studenta niszczy się wszystko, co niby złe i niedojrzałe, zanim się takiego nieszczęsnego delikwenta zaliczyło w poczet kolegów.

W średniowieczu nie istniało gimnazjum w dzisiejszem pojęciu i wystarczyło coś niecoś wiedzy liznąć w szkole parafjalnej, lub klasztornej, — co dzisiaj odpowiadałoby raczej szkole powszechnej, — by móc potem wstąpić odrazu na uniwersytet.

Inna rzecz, że trzeba było być prawie dorosłym i wiek ówczesnych studentów odpowiadał mniejwięcej dzisiejszemu, a nawet zdarzali się studenci wąsaci, mający dobre ze trzy do czterech krzyżyków na barkach.

Tacy, to już byli najgorsi i najwięcej nowicjuszom umieli dać się we znaki.

Wstępujących na średniowieczny uniwersytet nie nazywano inaczej, jak tylko pogardliwem przezwiskiem „bean", mającem oznaczać niemowlę, pisklę, żółtodziuba lub przypominającem dźwięk „be", jaki wydają owce czy cielęta, które bez matki obejść się nie mogą i pozostawione samotnie nie wiedzą, co począć. Bean zanim został wliczony w poczet kolegów, musiał się poddać egzaminowi cierpliwości, zwanemu u nas otrzęsinami.

Zwolennicy tego zwyczaju powoływali się na starożytną tradycję, iż jeszcze Sokrates, gdy przybył na naukę do Aten, musiał się takiemu egzaminowi poddać. Miano go podobno zawlec do łaźni, wysmarować twarz i różnym innym męczącym poddać go próbom.

Co więcej, zwyczaj ten cieszył się nawet poparciem ciała profesorskiego, które samo brało udział w obrzędzie i nowicjusza, któryby się obrzędowi temu nie poddał, nie uważanoby za studenta, choć dopełniłby wszystkich oficjalnych formalności i w m trykę uniwersytetu był zapisany.

Na naszą korzyść trzeba zaznaczyć, iż w Polsce zwyczaj otrzęsin był początkowo nieznany. Dopiero, gdy do odnowionego przez Jagiełłę uniwersytetu poczęli tłumnie ściągać Niemcy i Czesi, wraz z nimi przywędrował ten barbarzyński obrzęd, stosowany u nas z biegiem lat coraz częściej.

W odprawianiu otrzęsin doszło do takich nadużyć, że młodzież w obawie przed otrzęsinami wogóle z nauki na uniwersytecie rezygnowała i do Krakowa nie przyjeżdżała.

Musiała wkroczyć w to władza zwierzchnia i w 1511 roku rektor wydał zakaz odprawiania otrzęsin pod grozą wydalenia z uniwersytetu. Z tego rektorskiego zakazu wynika, że otrzęsiny odprawiano nietyle dla kultywowania tradycji, ile dla wyłudzenia pod ich pozorem pieniędzy od niedoświadczonych, dla nakarmienia pustych żołądków, zarówno starszych żaków, jak i samych profesorów, znanych z wielkiego ubóstwa.

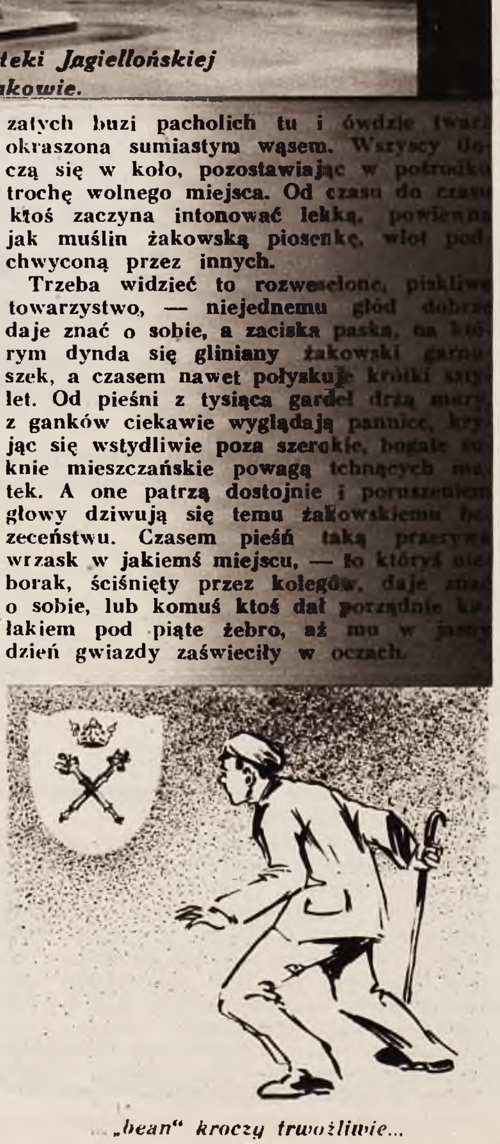
Trzeba podkreślić, że w Polsce najpierw zniesiono to barbarzyństwo, — pierwszy uniwersytet krakowski przeciw temu wystąpił, podczas, gdy w takich Niemczech Luter i Melanchton, surowo odnoszący się do młodzieży, — właśnie otrzęsinom udzielali swe poparcie, wychodząc z założenia, że młodzież tyle czeka w życiu przykrości, iż dobrze jest, jeśli się do cierpliwości w znoszeniu przeciwności zaprawia.

Można jeszcze dodać, że otrzęsiny przechowały się prawie do dziś dnia, obchodzone w zamkniętem kółku rozmaitych korporacyj uniwersyteckich, w których kandydaci jeszcze i dzisiaj nazywają się fuchsami.

Program otrzęsin zależał w dużej mierze od pomysłowości inicjatorów w ośmieszaniu i dokuczaniu beanowi.

Wyobraźmy sobie wyboiste podwórze jakiegoś średniowiecznego domu, lub dużą, mroczną salę o grubych, wilgotnych murach i małych okratowanych oknach. Okrągłe kolorowe szybki, oprawne w ołów mało co wpuszczają światła. Wrzask, śmiechy, gwar namiętnie prowadzonych rozmów, różnokolorowe kubraczki, kuse pończochy, czapki aksamitne z piórkami, a z pod nich wymykają się długie pukle włosów. Wśród pyzatych buzi pacholich tu i ówdzie twarz okraszona sumiastym wąsem. Wszyscy tłoczą się w koło, pozostawiając w pośrodku trochę wolnego miejsca. Od czasu do czasu ktoś zaczyna intonować lekką, powiewną jak muślin żakowską piosenkę, wlot podchwyconą przez innych.

Trzeba widzieć to rozweselone, piskliwe towarzystwo, — niejednemu głód dobrze daje znać o sobie, a zaciska paska, na którym dynda się gliniany żakowski garnuszek, a czasem nawet połyskuje krótki sztylet. Od pieśni z tysiąca gardeł drżą mury, z ganków ciekawie wyglądają pannice, kryjąc się wstydliwie poza szerokie, bogate suknie mieszczańskie powagą tchnących matek. A one patrzą dostojnie i poruszeniem głowy dziwują się temu żakowskiemu bezeceństwu. Czasem pieśń taką przerywa wrzask w jakiemś miejscu, — to któryś nieborak, ściśnięty przez kolegów, daje znać o sobie, lub komuś ktoś dał porządnie kułakiem pod piąte żebro, aż mu w jasny dzień gwiazdy zaświeciły w oczach.



...„bean" kroczy trwożliwie...

Czyż już sam widok tego zgromadzenia nie mógł przyprawić o ciarki beana?

Ale to dopiero początek. Kierujący uroczystością, wśród niepomiernego wrzasku i sypiących się, jak grad, przezwisk pod adresem delikwenta kładą go na środku podwórza lub sali, uważając go za nieociosany kloc drzewa, który nolcżałoby dopiero ociosać, oheblować, ogładzić. Biorą więc sznur, którym go odmierzają, dalej obrzynają piłą ociosują toporem i siekierą. Wszystko to polega na kuksańcach, szczypaniu, w którem solildnie ze śmiechem pomaga otaczające koło. Symbolizuje to, iż kandydatowi na studenta należy wszystko, co grubsze odłupać, — co szorstkie, wygładzić.

Zkolei sadzano go na krześle i golono, oczywiście tak, że czuł wszystkie zęby, przytem musiał sobie sam przynieść wodę rozmyślnie strasznie brudną i w bardzo nieczystem naczyniu. Gorzej, bo po drodze tak go popychano, czy podstawiano nogi, że prędzej czy później musiał się wywrócić i całą zawartością oblać. Jeśli zostało coś jeszcze w naczyniu, to wprost ktoś wśród wycia żaków wylewał mu na głowę.

Tak przysposobionemu podawano pióro i kałamarz, sporządzony wraz z korkiem z jednego kawałka, że niepodobieństwem było go otworzyć. Nieborak pocił się nad jego otwarciem, a towarzyszyły mu salwy śmiechu i okrzyki, jaki z niego niedołęga.

Zmaltretowanemu, wyśmianemu, obitemu ktoś nieznacznie wsadzał do kieszeni list, który potem niby zauważony przez żaków wyjmowano z kieszeni beana i czytano publicznie. Był to niby list od matki, w którym ubolewa, z tęsknoty usycha za nim i pisze do niego, jak do niemowlęcia. Czerwony, jak burak bean musiał to wszystko wśród drwin wysłuchać. Biada mu, jeśli prosił o litość lub niecierpliwił się. Jeszcze więcej musiał wtedy wycierpieć!

Jeśli biedak myślał teraz, że to już koniec — to się grubo pomylił. Jeszcze wsadzano go na drewnianego kozła i przypinano rogi, które następnie obcinano, co miało symbolizować głupotę. Czasem przyprawiano wielkie uszy, co miało oznaczać tępy umysł, — względnie czyszczono go grubą piłą, posypywano solą lub polewano winem.

Gdy się już sami oprawcy zmęczyli, — nie mówiąc już o nieboraku, mdlejącym już z tego wszystkiego, — zmuszano go jeszcze do podziękowania za otrzęsiny i przyrzeczenia, że się nigdy na nikim za to nie będzie mścił. Dopiero po dopełnieniu tej formalności ogłaszano go studentem i wpisywano do księgi deponowanych.

Całość obrzędu kończono ucztą wespół z profesorami, mocno zakrapianą winem, — a wszystko to na koszt dotychczasowego beana.

I długo w noc jeszcze rozlegały się śpiewy, budzące ze snu spokojnych mieszczan, a straż miejska unikała przezornie grupek, zygzakiem wracających do domu, ażeby nie przyszło do niepotrzebnej zwady.

Nieraz takie otrzęsiny bean odchorował, a nawet był wypadek, że zakończyły się śmiercią delikwenta. Tembardziej wielką zasługą kulturalną Polski jest to, że pierwsza w Europie otrzęsiny potępiła i oficjalnie je u siebie zniosła.

A dziś otrzęsiny pojawiają się znów, ale w nieco zmienionej formie. Nie będą już postrachem dla nowowstępujących na uniwersytet, — a tylko podtrzymają kult zwyczaju żakowskiego na rozpoczęcie roku szkolnego. Nawiązując do średniowiecznych tradycyj, przedstawiają się teraz, jako wspaniałe, barwne, pełne młodzieńczej werwy i humoru widowisko, stanowiące atrakcję zarówno dla mieszkańców uniwersyteckiego miasta, jak też i dla ciekawych przybyszów, budzące gorącą sympatję do wesołej i beztroskiej młodzieży akademickiej.

Mgr. Mieczysław Tobjasz.

NASZA DRUGA ANKIETA.

CO BYM ZROBIŁA — *gdybym miała miljon?*

JADZIA ANDRZEJEWSKA.

Kilka lat temu pojawiło się na ustach warszawskich teatromanów nazwisko, które wzbudziło ogólne zainteresowanie. Któż je nosił? Mała, drobna, jasnowłosa dziewczynka, Jadzia Andrzejewska, której talent zabłysnął na deskach łódzkiego teatru, a później w podziemiach teatru na ul. Senatorskiej. — Powszechnie uznano jej aktorskie zdolności, zwłaszcza w „Dziewczętach w mundurkach" Cristy Winsloc. Czy było to zasługą utworu scenicznego, w którym główna rola przedziwnie odpowiadała debjutantce, czy też właśnie młodziutkiej Jadzi, która potrafiła stworzyć taką kreację, jest po dziś dzień niewyjaśnione! Dość jednak, że „Manueia" postawiła J. Andrzejewską w szeregu wybitnych aktorskich indywidualności. Jakiż potężny sukces? „Dziewczęta w mundurkach" szły przeszło sto razy. Właśnie rozmawiam z p. Andrzejewską w garderobie „Cyrulika Warszawskiego" o jej roli w tej sztuce.

— Czy pani wie — mówi nam Jadzia — co to znaczy w ciągu trzech miesięcy codzienie wieczór płakać i to płakać nie glicerynowemi łzami, lecz prawdziwemi. Choć takie role najbardziej mi się podobają, to jednak czułam się bardzo wyczerpana, a obecnie zadowoloną jestem, iż biorę udział w rewji, a nie w dramatach, gdzie trzeba przez trzy godziny być na scenie.

— Tak, słusznie, należy liczyć się ze zdrowiem, zwłaszcza, gdy ktoś jest takiem „chucherkiem". — Przecież po dłuższej pracy w teatrach Szyfmana pani musiała wyjechać na roczną kurację, by poprawić swe nadwyrężone zdrowie.

Dziś ślicznie wygląda i świetnie się czuje.

— Zaangażowałam się na sezon — mówi dalej panna Jadzia — do „Razury" pana Jarosego i jak dotąd — mówi z uśmiechem — wcale tego nie żałuję. Przecie również dobrze można wypowiedzieć się w skeczu, napisanym przez zdolnego człowieka. — Jak pani podoba się „Rozmowa w windzie", którą gram z p. Żelichowską? — pyta młoda gwiazda.

— Bardzo, bardzo! — odpowiadam — w tym 10-minutowym dialogu tak świetnie scharakteryzowano całą psychologję dwóch światopoglądów: dziewczęcej naiwności, którą uosabia pani i piekielnej znajomości, z drzewa dobrego i złego, którą odtwarza — pani Żelichowska. Nie dziwię się, że pani jest zadowolona z tej rólki, gdyż w niej można się „wygrać". Lecz muszę zadać pytanie, które jest celem mego wywiadu: Coby zrobiła pani, gdyby wygrała miljon?

— Miljon? Uf! aż taka suma! Podróżowałabym, tylko podróżowała. Jest to dla mnie największa przyjemność, jaką mogę sobie wyobrazić. Jeździć, poznawać szeroki świat! Pozatem wieleż łez możnaby zetrzeć z twarzy ludzi, będąc miljonerką. Ot naprzykład wczoraj otrzymałam list od jakiejś panienki z mego rodzinnego miasta Łodzi, z prośbą, bym przysłała jej 500 złotych. Marzy, aby zostać tancerką, a nie ma pieniędzy na kształcenie. Odpisałam jej, że nie rozporządzam niestety taką sumą. Och, gdybym miała miljon!

— A jaki ma pani plan na najbliższą przyszłość?

— Ukończyłam sceny z „Wacusia", a teraz czekam na rolę w nowym filmie, w którym mam grać z Jaraczem. Bardzo się cieszę, gdyż to jest coś dla mnie odpowiedniego, coś smutnego!... *A ja tak lubię smutek w teatrze!...* — kończy z zadumą panna Jadzia.

Lecz chyba nie w życiu?...

Krystyna Dienstl.





Codzienność nie zdoła nas oderwać od wspomnień... Ciągle mamy w pamięci pochód żałobny, a z nim — werbel... nieodłączny, posępny warkot bębna, którego nic stłumić nie zdoła w naszych sercach...

Dreszcz grozy szedł od tej, tak prostej figury rytmicznej, od huraganowego ataku dwóch pałeczek na napiętej skórze instrumentu. Był to wspaniały w swojej prostocie efekt akustyczny, bardziej wymowny i przejmujący, niż tony najpiękniejszych marszów żałobnych.

* * *

Werbel, to krótka pobudka poprzedzająca marsz orkiestry. Jeżeli marsz jest żałobny, werbel brzmi wolniej; dźwięk jego głuszy zasłona krepowa.

Pierwsze werble orkiestrowe wprowadził u nas 36 p. p. Po raz pierwszy usłyszeliśmy je na uroczystościach 10-lecia Niepodległości, w czasie defilady na polu Mokotowskiem w Warszawie.

Ale ile razy przedtem oglądaliśmy naszych doboszów na historycznych obrazkach? Maszerują przed orkiestrą i z fantazją wywijają pałeczkami. Bo w dawnych czasach werbliści towarzyszyli armji w najuciążliwszych marszach; szli nawet do ataku. Niegdyś także hordy tatarskie ruszały do boju przy warkocie bębnów, przytraczanych do siodeł. Cofając się jeszcze bardziej w pomrokę dziejów, spotkamy werbel u wszystkich ludów i we wszystkich czasach, jako zew bojowy i hasło obrzędowe.

Oto leży przed nami pożółkły wolumin, dzieło Bonanniego z 1776 r., traktujące wyczerpująco o wszelkich możliwych instrumentach muzycznych. Najpierw „timpano antico". W czasach biblijnych nie kapłan, ani wojownik, lecz niewiasta hebrajska uderzała słabemi palcami w niepokaźny bębenek. Ludy starożytne robią rumor bębnami w czasie składania ofiar. Ich płaski bębenek jest maleńki i okolony dzwoneczkami, jak włoskie tamburino. Bito się weń młoteczkiem. Werblem w Chinach zwiastuje się ukazanie cesarza. Pekin posiada gigantyczny bęben, obciągnięty skórą z jednej sztuki.



Na lewo: Dobosz pierwszego pułku strzelców pieszych Księstwa Warszawskiego (według B. Gembarzewskiego). — Na prawo: Dobosze 5 pułku strzelców podhalańskich.

MELODJA DOBOSZÓW

Żołnierz turecki nosił niegdyś bęben na plecach, a towarzysz idący za nim, uderzał pałkami. Pers wiesza swe dwa maleńkie bębenki na brzuchu i uderza pałeczkami to w jeden, to w drugi, naprzemian.

Dzikie ludy mają bębny, t. zw. „tam-tamy", podłużnego kształtu, z kory i zawieszają je na drzewach. Przy ich dźwiękach wpadają w szał taneczny, ale częściej jeszcze biją w bęben na trwogę, zawiadamiając o napadzie nieprzyjaciela.

Bęben napoleoński, pokaźnych rozmiarów, zwisał na bandach z ramienia. Ten sam typ, tylko mniejszy, utrzymywał się mniej więcej do naszych czasów, z tą różnicą, że żołnierz trzyma go nie z boku, ale przed sobą.

M. S. S.



Na lewo: Czarny jazzbandzista w jednej z orkiestr tanecznych, którego przodkowie tańczyli jeszcze pod palącemi promieniami afrykańskiego słońca swój taniec wojenny w takt oryginalnych tam-tamów, dzierży w rękach pałeczki, wybijające przedziwne figury rytmiczne na skórze małego bębna... — Poniżej: Wojownicy murzyńscy zbierają się na odgłos bębnów, odznaczających się oryginalnym kształtem.





MARJAN PLEZIA

Tosca

NOWELA

ILUSTR. CHARLIE

Dopiero na schodach poczuł, że coś z nim jest niedobrze. Nie dlatego, że tak się zadyszał, wchodząc na swoje drugie piętro — od kilku lat już chorował na sklerozę i był do tego przyzwyczajony. Trudno, 60 lat ma swoje prawa! Ale dlatego, że tutaj dopiero, na tych trzeszczących schodach z ciemnego drzewa, pokrytych wydeptanym, czerwonym chodnikiem, zrozumiał, że to jednak naprawdę koniec.

Bo przecie codziennie, systematycznie o trzy na ósmą rano schodził po nich z czarną teczką pod lewem ramieniem, a z kokieteryjnie związaną ładnym sznureczkiem torebką ze śniadaniem na palcu prawej. W bramie odpowiadał uprzejmem skinieniem głowy na pozdrowienie pyskatej stróżki i za dziesięć ósma oczekiwał już na rogu, skąd błękitny, dzwoniący tramwaj unosił go, aby wysadzić tuż koło bramy banku. A kwadrans po trzeciej zawsze wracał tędy — jak teraz właśnie.

Więc kiedy pomyślał, że to już wszystko skończyło się i odeszło, poczuł nagle ostre ukłócie w płucach, tak że musiał chwycić się za poręcz. A przecie jeszcze przed chwilą, kiedy w gronie kolegów, dlatego tylko żałujących ofiary redukcji, bo w głębi serca byli uradowani, że to nie na nich padł los, opuszczał gmach banku, czuł się tak rześko, że aż dziwił się samemu sobie.

— Czuję, żem odmłodniał — skoro zostałem emerytem!

Pysznił się przed nimi tym żartem i tłumaczył, że praca w „budzie" dawno mu się już sprzykrzyła. Mój Boże w jego wieku, w kawalerskim stanie można się od biedy z tych dwustu zł. utrzymać. Będzie mógł się teraz systematycznie leczyć, gdzieś wyjechać, nie skamląc o urlop przed dyrektorem. Rozlecieli się jak stado wróbli widząc że niema sposobności do łatwego politowania, lub grzebania miłosiernemi palcami w czyjejś duszy. A on z uśmiechem poszedł — doprawdy poszedł, po 20 latach zdradziwszy wierny tramwaj — przez wiosenne ulice w stronę domu. Żeby zadokumentować świeżo odzyskaną młodość. Teraz będzie można zacząć nowe życie. Odurzał go gwar i ruch uliczny, oglądany dotąd niemal tylko z za odgraniczającej szyby tramwaju, podobny do preparatu pod szkiełkiem. Jakby w jego własnych wapniejących żyłach z ożywionem tętnem krwi przelatywały ze świstem piękne automobile, jakby jego tylko właśnie usiłowali ku sobie nęcić uliczni sprzedawcy, jakby stał się nieodzownym uczestnikiem wszystkich w pośpiechu załatwianych interesów. Wielki młyn porwał go w swoje tryby, ogłuszył hukiem nigdy nie spoczywającej machiny.,

Dopiero tutaj — — —

Dopiero tutaj zrozumiał, że uległ szczególnemu złudzeniu, zupełnie jak podróżny na stacji, widząc mijający go pociąg, sądzi, że sam ze swoim odjeżdża. A tymczasem on już nigdy nie ruszy.

I wtedy poczuł to ukłócie. A potem zaraz taką okropną słabość i zwiotczałość członków, jakby ktoś nagle przebił powłokę dziecinnego balonika i patrzył jak gaz się ze sykiem ulatnia, a tylko śmiesznie marszczy się i opada kolorowa powłoka. Ledwie dowlókł się do drzwi mieszkania.

Zamek ustąpił, a on powoli wsunął się do środka. Drzwi z automatycznym zatrzaskiem zamknęły się za nim z hukiem na całą sień. Rozpocząć nowe życie. „Wir haben schon Uebung darin" — szydzi w mózgu jakieś wspomnienie. (Skąd ja to znam? — niepokoi go niepotrzebne pytanie. — Ach, z „Piotrusia". Prawda). W kapeluszu i płaszczu upadł bezwładnie na fotel. Teczka z szelestem osunęła się na ziemię.

Jakże ciężko wracać myślami do tamtych czasów! Odgrodziły go od nich beznadziejnie szare, w codziennym, nieefektownym trudzie spędzane lata, jakby szare, ciężkie głazy zawaliły wejście do rajskiego ogrodu młodości. Zarosły na ich cierniste, kolczaste krzaki — myśli oporne, pętające serce, aby nie wracało do tych wspomnień. Stoi teraz przed niemi — bezradny, stary człowiek, bo czyż myślał choć przez chwilę, że dziwne koleje życia postawią go po raz drugi na takim samym progu?

Zapieczętowane leżą w najgłębszej szufladzie biurka na wieczną ciemnicę skazane jakieś wycinki starych przedwojennych gazet, mówiące o młodym, pełnym nadziei tenorze, składające hołd wspaniałemu głosowi, entuzjastyczne krytyki, słowa uznania. Oplecione kilku spłowiałemi szarfami, oderwanemi od dawno, bardzo dawno podanych na estradę wieńców. Leżą okryte kurzem, nietykane od lat — niewielka paczka, owinięta szarym papierem, skrępowana sznurkiem. Rzeczy martwe. Tylko wiją się koło nich wspomnienia jakiejś odświętnemi strojami napełnionej sali, świateł iskrzących się w lustrach, w kryształowych żyrandolach — kłębi się w niej wrzawa braw i okrzyków — na estradzie młody człowiek we fraku — kłania się. Co za śmieszne przypuszczenie, aby to mógł być on!

Włochy — Riwiera — studja — pyszny głos, perlący się kaskadą tonów, pod rozpiętem w ciszy głębokiem, lazurowem niebem. A potem Medjolan — jeziora włoskie — śnieżne Alpy w pierwszych podmuchach wiosny — „Tosca" w wiedeńskiej operze — — Ależ to tak strasznie dawno! Już przeszło trzydzieści lat temu — — —

— Zapalenie płuc jest niewątpliwie przykrą chorobą, ale wyleczyć da się bez trudu. Przy pańskim silnym organizmie, mistrzu, w dzisiejszem stadjum rozwoju medycyny! Niema powodu do obaw. — Kłamstwo! On umarł! Wyleczono chyba jakiegoś trupa! Bo bez głosu — —

Kiedy wrócił do kraju, była jesień, mglista jesień. Deszcz strugami zalewał ulice, deszcz bębnił po rozpiętej budzie fiakra, bicze wodne zacinały w twarz. Jechał klekocącą dorożką po wyboistym bruku w beznadziejną, pustą szarugę.

Było mniejwięcej tak jak teraz, kiedy marcowy, krótki dzień zasnuwa się mrokiem, a na ulicach zapalają lampy.

Do czegóż nie można przywyknąć! Mając 26 lat! Dość jest sił, aby odbudować sobie życie choćby je wycięto niemal do korzenia. A raczej ono samo się odbuduje z prostej biologicznej konieczności. Odrośnie właśnie ze zwykłej szarości codziennego istnienia. Jak blizny zrzadka tylko bolące zarosną dawne wspomnienia i aspiracje. Człowiek jest wtedy, jak młode drzewo, które pod ciężarem ugnie się, ale nie złamie. Tylko, że to ugięcie to wewnętrzne skrzywienie pozostanie na całe życie.

Trzeba było przypomnieć sobie, uzupełnić jakieś dawne, zawodowe wiadomości, zdać jakieś egzaminy i zaprząc się do kieratu. I rzecz ciekawa! Zrazu na dźwięk jego nazwiska obcy ludzie, którym podawał rękę, spozierali na niego z szacunkiem ze współczuciem, choćby tylko z zainteresowaniem. Potem patrzyli obojętnie, niewidzącym wzrokiem, jak na zwykłego, szarego przechodnia. Zapomnieli. A może pamiętali, ale to były już osoby zupełnie różne: głośny przed laty tenor i starzejący się urzędnik bankowy o temsamem nazwisku.

A kiedy jeszcze przyszła wojna. — Mój Boże, któżby o tem myślał?!

Przez kilka lat usiłował wytępić w sobie wspomnienia, wykarczować je do korzeni, na zupełnie nowy pień przeszczepić pędy swego życia. Włożył w to całą witalną energję swej młodości, która chciała istnieć w zdrowych warunkach a nie wiecznie tylko opłakiwać, co przepadło bezpowrotnie. Wmówił w siebie, że z tych żalów sączą się tylko w duszę jady rozpaczy i zwątpienia i prowadził tę politykę eksterminacyjną względem samego siebie z nieubłaganą zaciekłością. Konsekwentnie nie chodził latami do teatru, ani na koncerty, czytywał jedynie fachowe książki, przy wynajmowaniu mieszkania wywiadywał się pilnie, czy u sąsiadów niema fortepianu. Chciał być tylko fachowcem, finansistą — nigdy niczem więcej. Cierpiał niekiedy jak potępieniec, ale na krok nie zboczył z obranej ścieżki.

Dopiero wojna, którą zresztą w charakterze landwerzysty spędził na służbie garnizonowej złamała jego bezwzględność. Wyszedł z niej postarzały, zmęczony, z nerwami po

szarpanemi do reszty. Odtąd starał się stworzyć sobie w życiu możliwy do zniesienia kompromis. Podzielił sobie dzień każdy na dwie połowy: w pierwszej odrabiał, ot tak, byle załatwić, prace biurowe, w drugiej stawał się kulturalnym człowiekiem, odwiedzającym wystawy i teatry, wytwornym melomanem interesującym się muzyką, jak wyszukanym rodzajem życiowej przyjemności. Niespostrzeżenie zaczął się zrastać, przywykać do tego podwójnego bytowania, z biegiem lat zasklepiał się w niem konserwatywnie i nie umiałby się już odeń oderwać. Zamieszkiwał jakby szczególny dom o dwu piętrach dolnem szarej nawpół bezmyślnej pracy, istniejącej właściwie tylko poto, aby podtrzymywać, dźwigać na sobie górne, poświęcone mądrze dobieranym, odświętnym przyjemnościom. Była to najsmutniejsza rezygnacja z prostolinijności życia, lecz zarazem najwygodniejszy sposób egzystencji. Rodzaj duchowego kalectwa, które zazdrośnie niczego nie chce się wyrzec, a wszystkiego może skosztować jeno potrosze. W miejsce żywych, upojających rozkoszy stwarzał sobie ich sztuczne, lekko podniecające namiastki. Prowadził tryb życia właściwy chorym, wegetującym po sanatorjach.

I tak np. interesował się żywo karjerą gwiazd śpiewaczych. Z przeróżnych pism, na których prenumeratę obracał większą kwotę, śledził miejsce ich pobytu, występy, prace. Zdawało mu się, że razem z nimi przeżywa wszystkie upajające triumfy, widzi entuzjazm tłumów, uczestniczy we wspaniałych przyjęciach. Znając przecie dobrze to życie, umiał nieraz między wierszami wyczytać więcej, niż mógł tam dostrzec przeciętny śmiertelnik. Raz jeszcze wywoływał pod przymkniętemi powiekami obraz medjolańskiej La Scali podczas galowej premjery, upajał się entuzjazmem widowni, oklaskującej Aureljana Pertile, czy Benjamina Gigli. Zdała, jakby niewidoczny, lotny cień, duch jego uczestniczył w ich świetnem, pełnem blasków życiu, wysoko wznoszącem się nad jego nędzną egzystencją, jak wspaniałość neonowych reklam na olbrzymich gmach śródmieścia nad zapomnieniem podmiejskich uliczek.

Do jednego nazwiska przywiązał się zwłaszcza. Stało się to tak niespostrzeżenie, że sam pewnego dnia zdziwił się sobie. Kiepura... Należał do jego cichych, niedostrzegalnych wielbicieli którzy nie piszą listów, spotkanego nie proszą nawet o autografy, a tylko każdego koncertu, każdej płyty, nadanej w radjo wysłuchują w nabożnem, pokornem skupieniu, z przymkniętemi powiekami, kryjącemi łzy czystego szczęścia. Za innymi wędrowały po całej Europie jego wspomnienia, do tego przyrosło serce. Kochał go za czarującą młodość, za zwycięski uśmiech, za warjacki, polski temperament, dźwięczący w każdej nucie jego śpiewu. Na skromnem biurku figurowała wielka, roześmiana fotografja z filmu „Pieśń nocy". Otoczył go jakiemś ciepłem, nawpół ojcowskiem uczuciem. Los jego stał mu się drogi droższy może jak własny. Gdy przez czas jakiś brakło w dziennikach wywiadu, jakiejś wzmianki, informacji, niepokoił się i wstydliwie, z aptek lub z poczty telefonował do którejś z redakcyj po nowiny. Na wszystkie filmy chodził systematycznie po kilka razy. Przeżywał z nim raz jeszcze własną młodość, powierzył mu swoje skrzywdzone, złamane nadzieje — i oczekiwał ich spełnienia. „Mnie się nie powiodło, ale jemu, o, jemu pójdzie lepiej" — myślał pocichu w starem sercu. Drżał z obawy, gdy przeczytał o ulicznych koncertach, któremi rozbawiony, na nic nie zwracający uwagi, Kiepura darzył Berlińczyków, ale kochał go za nie jeszcze bardziej. Był dumny z niego. Skrupulatnie, sumiennie (o cudowne złudzenie!), „lege artis" porównywał głosy wszystkich śpiewaków z głosem „jego", Kiepury. I z głębokiem przekonaniem stwierdzał że choć Gigli dorównywał mu szlachetnością, a Caruso przewyższał może maestrją i opanowaniem, to żaden z nich mierzyć się nie mógł z jego cudowną werwą i temperamentem.

Krakowskiego koncertu wysłuchał przez radjo. Wieczór spędził w napięciu przed niewielką, drewnianą skrzyneczką, której światełko jarzyło się jak robaczek świętojański w ciemności zalegającej pokój. Boże, Boże, to była „Tosca" jego „Tosca", którą przed laty śpiewał we Wiedniu!

Jakby odpłata mściwego losu spadło nań potem ciężkie doświadczenie — majowa choroba śpiewaka. Stary człowiek stracił sen, codzień rano rzucał się na gazety, telefonami zasypywał redakcje. Poza godzinami pracy biurowej nie wiedział wprost, gdzie się podziać. Wreszcie w nieustającym niepokoju, choć oddawna niepraktykujący, pobiegł do kościoła dać na mszę. „Za zdrowie Jana" — powiedział szybko przy okienku, położył 10 zł. i uciekł. Gdy już wszystko szczęśliwie minęło, w ciągu wakacyjnego urlopu ledwie wrócił do równowagi.

Pokój cały zapełnił się już coraz gęstniejącym cieniem, jakby ktoś do powietrza zwolna dolewał atramentu. Z ulicy padał przez okna blask zmieszanych świateł. Nad dachami, na nisko wiszących chmurach rozpostarła się zwykła wielkomiejska łuna.

Stary człowiek siedział jeszcze w fotelu w kapeluszu i płaszczu, jakby we śnie pogrążony. Zdawało mu się, jakby wszystko się za nim skończyło, urwało i przepadło gdzieś w ciemności. Po raz drugi stanął na jakimś progu, patrzył w niewiadomą pustkę, ale nie miał już siły, aby próg przekroczyć. Zacząć nowe życie! Po raz trzeci! Złudzenia! Jest przecie tak strasznie zmęczony. Chyba nie potrafiłby nawet się podnieść — — —

Drżącą ręką przesunął po czole i ocknął się. Zobaczył, że to już wieczór. Trzeba zapalić światło, rozebrać się. Jakby instynktownie w trzeźwym realiźmie życia chciał szukać osłony przed gniotącym ciężarem dalekich myśli. Wydobył zegarek i w słabem świetle odczytał godzinę. Któżby pomyślał! Już siódma.

Podniósł oczy od bladolśniącej tarczy i równocześnie przypomniał sobie, że o siódmej ma dziś w radjo godzinę życzeń. Aparat stał tak blisko. Tuż przed nim na stoliku. Tylko sięgnąć ręką. Sucho klasnął przełącznik i w ciemności zapaliło się z cichutkim brzękiem drobne światło.

Spóźnił się trochę, bo już zaczęli. I jak zwykle na początek muzyka poważna. Skończył się właśnie marsz z „Fausta", a potem spokojna, nie zwiastująca niczego zapowiedź:

— Dla pani doktorowej Y. arja z „Tosci" w wykonaniu Jana Kiepury.

Drgnął na te słowa, jakby go przeszył prąd elektryczny. Obu rękami uchwycił się poręczy fotela. Huragan skłębionych wspomnień raz jeszcze przeleciał przez głowę i wypadł, pozostawiając nagłą pustkę bez treści.

Pierwsze stłumione, elegijne takty orkiestry, w których przecie drga przeczucie całej głębi liryzmu, jaką później wybuchnie arja. I już słychać słowa: „E lucevan le stelle...". Odarte z ozdób, uproszczone w nawpół śpiewnej recytacji. Pauza. Bledną gwiazdy wysoko na niebie nad zamkiem św. Anioła. Świt blady z mroku wydobywa grube mury.

Głos targa się i szarpie w beznadziejnej rozpaczy. Całą pasją młodego za chwilę zginąć mającego życia. Raz jeszcze wirem wonnym otaczają go wszystkie jego uroki i ponęty. Bogactwo, sztuka, miłość... Szczęki zaciskają się, głos gnie się w namiętnym wyrazie „caresse", jakby Cavaradossi chciał ją raz jeszcze przycisnąć do piersi.

Ale ulatują, rozwiewają się jak mgły poranne, wstające z nad Tybru. Więc wybucha żarem niepowstrzymanej żądzy, łamie się w rozpaczy, leci za niemi ostatni półokrzyk, pół-łkanie: „vita ma, vita!".

I jeszcze ostatnie, rozprószone, gaszące wszystko echa w orkiestrze.

— Życie moje!!

Stary człowiek wyprężył się, nawpół powstał w fotelu. Sekunda napiętej ciszy. Nagle zepsuło się coś na stacji, bo rozległ się trzask w aparacie. Ale nie! To salwa egzekucyjnego plutonu. — Wszystkie strzały ugodziły w jego serce. Poczuł nagły, przepływający ból i runął wtył. Jak Cavaradossi. Głowa zwaliła się bezwładnie na poręcz, kapelusz zesunął się wtył. Aparat umilkł.

W bladem świetle, docierającem z ulicy, twarz starego człowieka odchylona ku górze, martwemi oczyma patrząca w sufit, była spokojna, wyszlachetniała. Ból z niej spłynął i zastygł tylko w cierpkiem skrzywieniu ust.

KONIEC.



Na biurku figurowała wielka roześmiana fotografja...

Pani może być czarującą i młodą jeżeli...

Wywiady „Asa" z gwiazdami ekranu i sceny.

Kto zna Mieczysławę Ćwiklińską, a takich można liczyć na setki tysięcy, gwiazdę i chlubę sceny polskiej, ten przyzna mi rację, że rozpoczynającą w świecie teatralnym stolicy wywiady na temat tak frapującej ankiety, jak niniejsza, przedewszystkiem zwróciłam się do tej wielkiej artystki. Jej ujmujący wdzięk, prostota i czar kobiecości, promieniujący z każdej postaci, kreowanej przez nią na scenie, zmusza do podziwu i uwielbienia, najbardziej wymagających znawców teatru i sztuki.

Ale nietylko ze sceny emanuje pani Mieczysława tyle walorów uroku kobiecego. Taką samą jest i w życiu codziennem. Doskonała linja, platynowe włosy, jasne, wesołe oczy, a w uśmiechu, który tak często zdobi jej twarz, demonstruje dwa rozkoszne dołeczki.

Tak, ale czy zdradzi ta czarująca kobieta tajemnicę swej młodości?

Zaryzykujmy...

Ćwiklińska jest szalenie zajęta. Rano próby z „Pana Damazego", który ma się wkrótce ukazać na deskach Teatru Narodowego, wieczorem gra hrabinę d'Autreval w „Walce kobiet" Scribe'a. Wybieram to drugie i składam artystce wizytę w jej garderobie podczas antraktu.

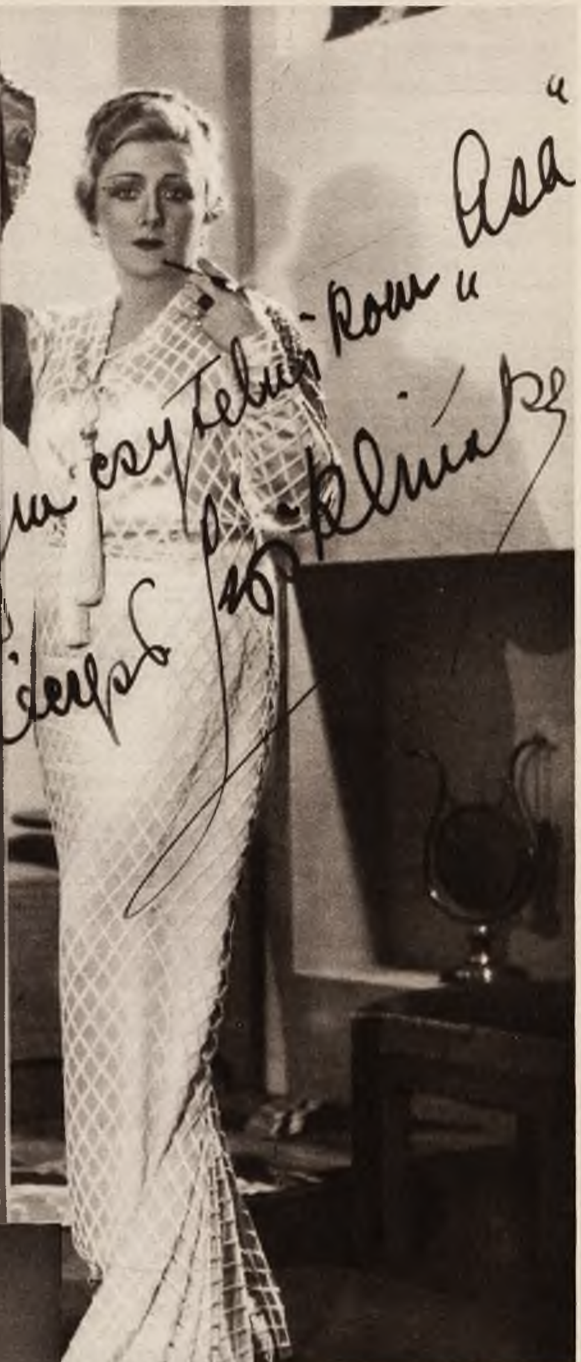
— Wywiad dla „Asa"? Ależ z największą przyjemnością! — słyszę uprzejmą odpowiedź na mą prośbę. — Jestem szczerą wielbicielką tego tygodnika, który w tak krótkim czasie zyskał sobie taką popularność. Co za rozmaitość tematów, jakie piękne zdjęcia!

— Moja odpowiedź na ankietę „Asa" nie wymaga długich namysłów. Kobieta, jeśli chce zachować jak najdłużej swą urodę i młodość, powinna mieć zawsze dobry humor i być... dobrą.

Przyznaję się, że doznałam w pierwszej chwili wielkiego rozczarowania. Spodziewałam się jakichś tajemniczych recept na eliksir wiecznej młodości, dyskretnych porad kosmetycznych, emocjonujących zwierzeń o jakichś zabiegach a la Woronow, czy Steinach.. A tu tylko dobry humorek i serce...

— No, nie mówię o kulturze ciała i higjenie, której każda kobieta powinna hołdować — ciągnęła dalej moja rozmowczyni. — To są rzeczy ogólnie znane i już raz na zawsze zaakceptowane, jako podstawowe czynniki w pielęgnowaniu urody kobiecej. Ale pozatem, niech mi pani wierzy, tylko beztroski humor i dobroć serca zdoła nawet z brzydkiej kobiety uczynić istotę pociągającą, zawsze młodą i wdzięczną. Niech to pani gorąco poleci Czytelniczkom „Asa"! — zakończyła artystka z ujmującym uśmiechem.

A ja, patrząc na dwa rozkoszne dołeczki, kokietujące mnie sympatycznie z tej roześmianej twarzy, przyznałam artystce najzupełniejszą rację.





Nasza najmilsza gwiazda filmowa, Jadwiga Smosarska.

Powyżej: Mieczysława Ćwiklińska, znakomita artystka scen warszawskich.

✦ ✦

Jadwigę Smosarską, gwiazdę polskich ekranów, odwiedzam w jej pięknej i wytwornej willi, położonej na krańcach stolicy. Na sąsiednich terenach pasą się sielsko, anielsko nasze poczciwe krówki, dużo powietrza i słońca. Hen, w lazurze nieba szybują, zda się bezgłośnie, szare ptaki samolotów.

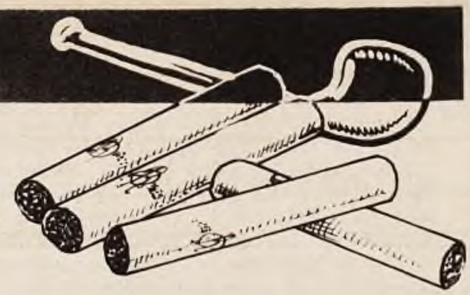
Dobrze jest w tej ciszy i spokoju odetchnąć po wyczerpującej pracy na scenie, czy w atelier filmowem.

Ten właśnie odpoczynek i dobry sen uważa pani Jadwiga za najcenniejszy kosmetyk w pielęgnowaniu urody i młodości.

— Niezawsze jednak, a właściwie bardzo rzadko mogę sobie pozwolić na luksus wczesnego położenia się do łóżka — zwierza mi się

Dokończenie na str. 31-ej.

FAJKA CZY PAPIEROS?



Nieśmiertelny lord Paradoks — Oskar Wilde powiedział, że papieros jest szczytem rozkoszy albowiem podnieca, a nie nasyca.

Dziś niezaprzeczenie mały papieros jest jednym z najtypowszych rekwizytów dwudziestego wieku. Jego wonny dym obiecuje znacznie więcej, niż spełnia — nie daje wypoczynku, ani nie budzi głębszych myśli, a przecież jest wiernym towarzyszem zarówno w chwilach najwyższego skupienia, jak i w momentach swobodnej rozrywki.

Czasem zastępuje słowa, a czasem nawet i... indywidualność. Ileż jest twarzy, których jedynym wyrazem jest nonszalancki monokl i perfumowany angielski papieros. Bez tych dwu akcentów fizjognomja niejednego kawiarnianego lwa — rozpłynęłaby się w tłumie, nie zaszczycona żadnem spojrzeniem kobiecem. — A czasem papieros zastępuje trudne słowa, których lepiej i efektowniej jest nie wypowiedzieć. Przypominam sobie scenę z jednego filmu z Gretą Garbo, w której piękna artystka, zdradziwszy męża, przyznaje się mu do tej niewątpliwej zbrodni. Clark Gable — który był jej godnym partnerem, a w danym wypadku odtwórcą roli męża — nie przemówił w tej scenie jednego słowa. Spojrzał tylko przesmutno swemi czarnemi oczyma i zamyślił się głęboko. Greta Garbo zawisła wzrokiem na jego zaciśniętych wargach — czekając na słowa — na to co On powie... Gable w milczeniu wstał z krzesła, podszedł do okna i zapalił papierosa. Palił szybko, nerwowo, gryzł niecierpliwie ustnik, wreszcie zadusił z pasją wpół wypalonego papierosa na popielniczce. Na tle jego opanowanej milczącej twarzy — papieros nabrał przedziwnej wymowy. Powiedział rzeczy głębsze i bardziej wstrząsające, niżby to zdołał wyrazić sam Gable.

Mistrzowie pozy — młodzi dancingowi „dyplomaci", salonowi zdobywcy i donżuani umieją dymkiem z papierosa nadać sobie pozór tego czegoś — co panie określają... „on jest ogromnie interesujący".

W ten sposób papieros, wynaleziony właściwie przypadkiem — stał się ważnym i pełnym ekspresji szczegółem w obrazie współczesnego świata. W wieku XVIII robotnice w fabryce tytoniowej w Sevilli zaczęły po raz pierwszy zrzynki i odpadki liści tytoniowych zawijać w cienki papier i palić. Taka jest geneza papierosa, który bardzo szybko się rozpowszechnił i wyparł w znacznej mierze pierwotne cygaro.

Modnym jednak stał się papieros dopiero w drugiej połowie XIX wieku.

Chociaż wynaleziony w Hiszpanji, najwcześniej w Turcji doczekał się fabrycznej produkcji. W pierwszych wytwórniach fabrykowano papierosy ręcznie i dopiero na słynnej wystawie paryskiej Francuz Durand zaprezentował światu pierwszą maszynę do robienia papierosów.





Szczególnie smakuje papieros po śniadaniu...

Na lewo: Fajka harmonizuje z rysami twarzy rasowego gentlemana...

Ten wynalazek — jak zapewniają stare kroniki — stał się pierwszorzędną sensacją ówczesnej szczęśliwej epoki, która nie łamała sobie głowy tylu kłopotliwemi problemami, co wiek dwudziesty. Szeroko rozprawiano o korzyściach nowej maszyny, która miała położyć kres niezbyt wytwornemu kręceniu papierosów i niezbędnemu przy tej „domowej" fabrykacji ślinieniu bibułki.

Niedługo potem pojawiły się w salonach papierosy rosyjskie, zaopatrzone w ustnik z cienkiej tekturki. Ta nowość spodobała się ogromnie i papierosy rosyjskie, mniej nieco perfumowane od tureckich zyskały niebawem wielkie uznanie, specjalnie wśród pięknych pań. O ich niebywałem powodzeniu wymownie świadczy fakt, że w latach 70-tych fabryki rosyjskie sprzedawały ich rocznie po dwa miljardy sztuk.

Półwiekowy bój konkurencyjny pomiędzy papierosem bez ustnika, a papierosem z ustnikiem, dziś jest już definitywnie przesądzony na korzyść tego pierwszego. Wszystkie najlepsze i najdroższe sorty papierosów angielskich, tureckich, egipskich i austrjackich są wyrabiane bez ustnika.

Obecnie muszę zadać drażliwe pytanie, którego niestety w niniejszym feljetonie nie mogę pominąć milczeniem. Mianowicie, czy gentleman pali papierosa, czy fajkę? W Polsce fajkę stanowczo należy wziąć w obronę. U nas panuje przesąd, że palenie fajki jest rzeczą wysoce nieelegancką, a nawet wprost ordynarną. Tymczasem na Zachodzie, a zwłaszcza w Anglji, fajeczka cieszy się wielką sympatją i popularnością i palą ją członkowie najwyższej arystokracji, którym wszystko inne raczej możnaby zarzucić, niż brak elegancji i wytworności.

U nas po epoce biedermajerowskiej, kiedy metrowy a nawet i dłuższy cybuch był sprzętem wysoce cenionym — fajka przeżyła okres zupełnej degrengolady i zniknęła prawie doszczętnie z życiowej orbity wytwornych sfer. Nieliczni śmiałkowie-gentlemani, palący fajki, zyskują miano dziwaków i przeważnie kryją się ze swą fajczarską namiętnością — w towarzystwie paląc papierosy.

Anglicy nie palą z reguły na ulicy, w biurach przy pracy jedynie wyjątkowo, a przeważnie oddają się rozkoszy palenia w domu lub w klubie. Jeżeli ktoś pali rzadko, wówczas nikotyna działa na niego znacznie silniej, niż na stępione nerwy nałogowca, palącego kilkadziesiąt papierosów dziennie. Prawdziwy znawca, dla którego akt palenia jest istotnie wielką atrakcją — nie będzie sobie psuł tej przyjemności paleniem na ulicy, czy w biurze, gdzie jego myśl zajęta jest czemś innem. Woli obejść się parę godzin bez tytoniu, zaostrzyć sobie tym postem głód nikotynowy i dopiero w domu — po spożyciu posiłku — rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, oddać się niepodzielnie konsumcji wonnego dymu.

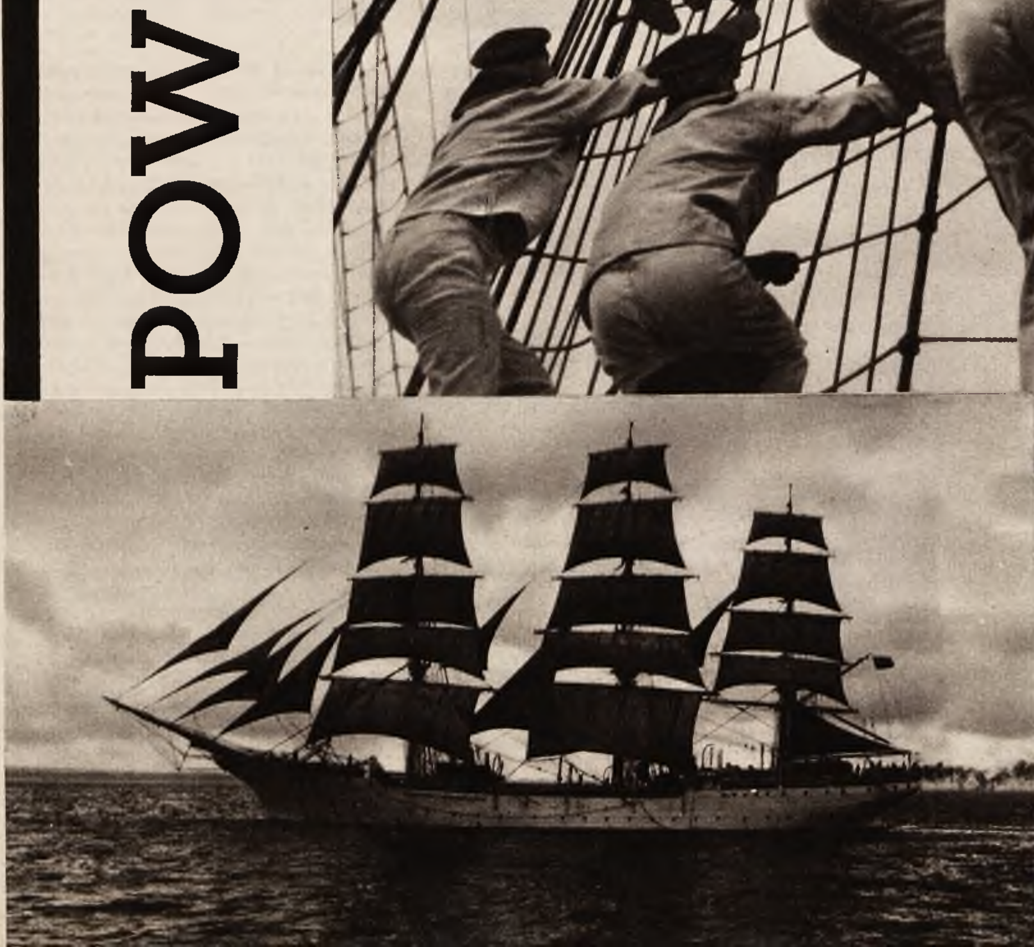
A więc fajka czy papieros? — Nałogowy palacz uznaje tylko papierosy. Fajka, którą pali się znacznie dłużej — pozostanie ulubienicą znawców dymu tytoniowego. — Zdaniem słynnego kapitana Klewstona, przy paleniu najważniejszy jest prawdziwy nastrój. Nigdy nie należy palić, gdy się niema prawdziwej ochoty. Natomiast fajkę, nabitą dobrym tytoniem, wypaloną w odpowiednim nastroju, kapitan Klewston zalicza do najprzyjemniejszych atrakcyj, jakie życie przeznaczyło dla gentlemanów.

Julmier.

POWRÓT DO KRAJU...



Ćwiczenia załogi na masztach...



„Dar Pomorza" zawija do portu gdyńskiego.

POKAŻ MI, JAK CHODZISZ...
A POWIEM CI, JAKIM JESTEŚ!



Ostrożnie odmierzone, więcej do środka, niż na zewnątrz stawiane kroki: to wielki polityk angielski, Lloyd George.



Pedantyczny, stale ten sam krok, przy którym obie nogi poruszają się w zgodnym takcie, jak w maszynerji zegarka: to profesor!

Ciało ludzkie jest osłoną duszy — a więc nic dziwnego, że dostosowuje się do swej treści i siłą faktu zdradza jej właściwości. Wiedzą o tem psychologowie i starają się odcyfrować charakter i rodzaj jaźni z budowy czaszki, z formy i osadzenia oka, z linji ręki, a nawet z rodzaju mniej lub więcej miękkich czy też krętych włosów.

W ten sposób powstał cały szereg pomocniczych gałęzi wiedzy, jak np. frenologja, objaśniająca związek między kształtem czaszki a charakterem, fizjognomika, pomagająca ocenić indywidualność i charakter z rysów twarzy i spojrzenia, chiromancja, odkrywająca właściwości charakteru na podstawie kształtu i linji rąk, wreszcie grafologja, która częściowo jest również zależna od organizmu ludzkiego, gdyż chwiejność lub stałość, wielkość i pewność liter wynikają ze stanu zdrowia, z unerwienia ręki, z właściwości reagowania systemu nerwowego całego organizmu. Rzecz ciekawa, że najmniej związku dopatrywano się między charakterem i indywidualnością, a chodem i sposobem stawiania nóg. Właściwie niesłusznie, bo jeżeli zastanowimy się nad tem ściślej, musimy dojść do przekonania, że każdy człowiek ma odrębny rodzaj chodu, zupełnie indywidualne poruszanie się i stawianie nóg, co niechybnie musi wypływać z właściwości jego charakteru.

Wprawdzie przed kilku laty pojawiły się w Ameryce psychologiczne systemy, w których główną rolę odgrywał... szewc, a zwolennicy tych systemów twierdzili nie bez podstaw, że rutynowany szewc rozpozna charakter klienta po sposobie wycierania obcasów i podeszew, lecz poglądy te spotkały się w Europie z drwiącem przyjęciem. Nie ulega wątpliwości, że sposób chodzenia uzależniony jest ściśle od biegu myśli i właściwości unerwienia, które ma bezpośrednią styczność z indywidualnością charakteru.

Obecnie psychologja poszła w tym kierunku dalej. Zaczęto zastanawiać się nad rodzajem chodu ludzkiego, jako uzewnętrznienie się charakteru i osiągnięto zdumiewające wyniki.

Stawianie nóg i charakter? Czyż nie brzmi to w pierwszej chwili niemal komicznie? A jednak po zastanowieniu się nie wydaje się to takie groteskowe. Przecież każdemu z nas zdarzyło się, słysząc kroki na schodach ,zawołać: „O idzie właśnie! Poznaję go po chodzie!" — Albo też, widząc ztyłu sylwetę człowieka, niespotykanego od lat, po sposobie jego chodu, przypominamy sobie, że człowieka tego znamy i że nie zmienił się jego sposób poruszania się, mimo, że ząb czasu zaznaczył na całej postaci swe ślady. Wniosek z tego, że chód nie ulega tak łatwo zmianom jak zasadniczo nie zmienia się charakter i pozostaje w ścisłym związku z indywidualnością danego człowieka.

W powieściach kryminalnych spotykamy się często z takiemi określeniami, jak: „skradający się, ostrożny chód typowego zbrodniarza", „ciężki, niezgrabny chód prymitywnego brutala", „chwiejny chód człowieka słabego, znękanego życiem" itp. A więc jednak można kierować się wrażeniem wzrokowem w ocenie charakteru kroczącego człowieka! Nawet psychika całych narodów odzwierciedla się w sposobie maszerowania armji. Żołnierz polski np. maszeruje raźnym, miarowym krokiem, w tempie średnio wolnem. Wyprostowany jak struna poddaje się ruchowi gromadnemu. Obcy obserwator może z tego wywnioskować, że Polak ma usposobienie pogodne i zdecydowane, potrafi być karny w gromadzie i zdaje sobie sprawę z ważności swego celu. Wojska niemieckie mają mocny, miarowy rytm marszu i ciężki, zdobywczy krok. W ruchach odzwierciedla się wysokie samopoczucie i pewność zwycięstwa. Natomiast armje ludów romańskich, jak np. francuskiego i włoskiego ,maszerują nerwowym, krótkim krokiem, a wyrzucanie nogi podczas chodu zdradza impulsywny, południowy temperament. Inaczej maszeruje już nowe pokolenie młodzieży faszystowskiej, stawiającej sobie trudne



Stopy odrobinę rozchodzące się i lekko ugięte kolana charakteryzują krok tancerek z Manili.

cele i świadomej zaborczego, zwycięskiego programu.

A jak jest na scenie? Czyż dany aktor nie zmienia chodu, tak jak zmienia charakteryzację twarzy, uśmiech, sposób mówienia zależnie od roli? Cóż powiedzielibyśmy o aktorze, który w roli bohatera chodzi lekkim, podskakującym krokiem, a w roli komicznego bon-vivanta stąpa miarowo i ciężko? Taki widok musiałby nas rozśmieszyć, podobnie, jak np. żywe rumieńce na twarzy człowieka, któremu z roli wypadnie za chwilę umrzeć na scenie.

Pomimo tych wszystkich niewątpliwych oznak silnego związku między chodem a indywidualnością danego człowieka, mało zajmowano się dotychczas — jak już powyżej zaznaczyliśmy — tą dziedziną pomocniczej psychologji. I dopiero nowsze czasy, domagające się wyraźnie właściwych ludzi na właściwych miejscach dla dobra porządku społecznego, zwróciły uwagę na ten ważny wskaźnik.

Lecz i charakter, a raczej sposób myślenia i odnoszenia się do faktów i ludzi ulega ewolucji z biegiem lat. Zwłaszcza zawód wyciska silne piętno na istocie człowieka. Niepowodzenia i klęski życiowe pozbawiają pewności siebie, powodują pesymizm i nieufność w stosunku do otoczenia, a wszystkie te przejawy uzewnętrzniają się w sposobie chodzenia i poruszania się. Inaczej natomiast chodzi człowiek, który odnosi sukcesy i wszystko idzie mu gładko i bez przeszkód. Przytem rodzaj zajęcia mniej lub więcej intelektualny, lżejsza lub cięższa praca fizyczna, potrzeba skupienia się lub wytężenia energji i inicjatywy w życiu zawodowem, wyciskają niezaprzeczone piętno na jego chodzie. Bez szczególnych trudności odróżnimy chód rzeźnika od chodu uczonego, sposób poruszania się zakonnicy od ruchów stawiania nóg manekina lub girlsy, chód urzędnika biurowego od chodu trenera sportowego.

Jeszcze łatwiej odróżnić można po chodzie człowieka z temperamentem od flegmatyka, człowieka nerwowego i gwałtownego od osobnika beztroskiego o pogodnem usposobieniu itp. Inaczej chodzi typowy, pretensjonalny głupiec, inaczej człowiek mądry, świadomy swych celów. A nawet inny będzie sposób poruszania się człowieka trzeźwego i praktycznego, jak chód fantasty, budującego zamki na lodzie. Przestępca, dążący do realizacji zbrodniczych celów, przejawi przy bliższej obserwacji swą indywidualność w sposobie chodzenia i nie trzeba być psychologiem, aby dany człowiek tylko wskutek chodu budził w nas uczucie antypatji, a nawet odrazy.

Grafologja okazała się znacznie wiarygodniejszym probierzem charakterystyki, aniżeli frenologja, fizjognomika i chiromancja. Dlaczego? Bo widocznie pismo jest elastyczniejsze w uleganiu impulsom i temsamem daje nam bardziej wyrazisty obraz chwilowego stanu duszy ludzkiej, aniżeli cechy stałe, jak np. kształt czaszki, brody, nosa lub osadzenie oczu. To samo powiedzieć można o chodzie. Przecież szybkość, nerwowość, niedbałość, czy też pewność stawiania kroków, zależna jest również od przejściowych impulsów i wyraźnie odzwierciedla przejawy sposobu myślenia i wpływ kierujących nami pobudek.

Stosując metodę deduktywną czy też induktywną, dojdziemy do łatwych i stosunkowo pewnych wyników zobrazowania charakteru na podstawie chodu. Weźmy np. pod uwagę chód powolny, miarowy, jednostajny, pewny. Jakież wnioski nasuwają się nam na pierwszy rzut oka na temat jego charakteru? Że przeważa w nim rozum, zrównoważenie, a cel, do którego zdąża, ma przed sobą jasno wytknięty. Jest przekonany o swojej wartości i cechuje go wytrwałość i rzeczowość. Natomiast szybki, gorączkowy krok zdradza witalność, lecz zarazem nerwowy pospiech, wewnętrzny niepokój i niepewność wyników pracy. Ludzie, których cechuje wielka uczuciowość, żywa fantazja, impulsywność, namiętny temperament, przejawiają wszystkie te cechy charakteru w sposobie chodu, nacechowanym zazwyczaj szybkiem, nierównem tempem i gwałtownem wyrzucaniem nóg.

Wracając do roli szewców, jako psychologów, musimy zaznaczyć, że istotnie inteligentny szewc i bystry obserwator może wyciągnąć słuszne wnioski ze sposobu wycierania obuwia. Człowiek, zwracający nogi na wewnątrz, bywa zatopiony w swoich myślach, jest uparcie przywiązany do jakiejś prześladującej go idei i hermetycznie uodporniony na wpływy zewnętrzne. Taki człowiek nie nadaje się do stosunków towarzyskich. Natomiast ludzie, stawiający stopy silnie nazewnątrz, są pozbawieni programowego, podstawowego zadania życia, lecz są przystępni dla wpływów zewnętrznych, zwracają na wszystko uwagę, są mili i łatwi w obejściu i zawsze wesoło usposobieni.

Mocne i głośne stąpanie zdradza duży zasób nieopanowanej i nieugiętej w karby energji. Tacy ludzie używają chętnie przekleństw, podnoszą głos i takiemi zewnętrznemi oznakami nadrabiają brak wytrwałości i siły woli. Nie należy jednak identyfikować mocnego, ciężkiego chodu, z krokiem stanowczym i zdecydowanym, który dowozi równego, pewnego usposobienia. Jeżeli jednak człowiek, chodzący w ten sposób ściąga kurczowo ramiona i podnosi nadmiernie głowę do góry, jest pewny siebie, a temsamem pyszałkowaty i nietaktownie lekceważący ludzi.

Krok podskakujący, tak często cechujący kobiety, zdradza powierzchowność umysłu, nierozwinięty samokrytycyzm, próżność i egotyzm, wreszcie gadulstwo. Krok cichy, powłóczysty, t. zw. koci, symbolizuje złośliwe i krytyczne nastawienie, zarozumiałość, chwiejny charakter, brak wyrozumienia dla drugich, nieuprzejmość, małostkowość i upór. Niezgrabny, niedołężny i chwiejny chód dowodzi, że dany człowiek nie ma wykształcenia i wyrobionych form towarzyskich, jest intelektualnie połowiczny i pod pewnemi względami niezręczny. Są to jednak ludzie sympatyczni, uczciwi, szczerzy, o najlepszych zamiarach i szlachetnych motywach postępowania.

Ludzie, ścierający w chodzie obcasy i temsamem opierający się silniej na piętach są szczerzy, odważni i uczciwi. Natomiast osobnicy, chodzący na palcach, starają się intenzywnie ukryć swe myśli, są podstępni i chytrzy. Pochylona głowa, a zwłaszcza pochylona górna część korpusu podkreśla skrytość charakteru. *Dok. na str. 31-ej.*



Długi, przy energicznym wyrzucie nogi, oraz rozchodzących się stopach, krok: to mężczyzna, odnoszący wielkie sukcesy w życiu.



Dr Pullmann z Los Angeles i jego aparat, usuwający błędy w budowie stopy i korygujący brzydki chód pań.



Trochę taneczny krok, przy zwolnionym nieco ruchu nóg: to znany elegant angielski, lord Lonsdale.

PATRZYMY NA ZIEMIĘ Z PRZESTWORZY...



Marzenia tysięcy pokoleń spełniły się. Myśl i wiedza człowieka XX wieku opanowała najtrudniejszy do zdobycia żywioł — powietrze.

Skrzydłami metalowego ptaka odbijamy się lekko od ziemi, by płynąć w przestworze. Pierwsze wrażenie unoszenia się w powietrzu tak jest potężne, iż popadamy natychmiast w stan radosnego oszołomienia. Nie mamy siły na analizę i zastanowienie się nad naszym psychicznym stanem. Nie zastanawiamy się również nad precyzyjnością rytmu motoru, lecz pełnym haustem wchłaniamy nowe nieznane dotąd wrażenia.

Tam na dole zostawiliśmy naszą rodzinę, nasze interesy, nasze smutki i radości, a teraz unosimy się ponad tem wszystkiem, zawieszeni w eterze pomiędzy niebem a ziemią. W tym momencie z wdzięcznością zaczynamy wyczuwać potęgę genjuszu ludzkiego, który odwieczną bajkę zamienił w tak piękną rzeczywistość. Zanim zdołaliśmy wpić oczy w piękną zabawkę, w jaką zmieniło się rodzinne miasto, a już wielkie kłębowisko miejskie zmienia się w wzory mozaiki, ulic i placów, a wkrótce ta mozaika przekształca się w plastyczną mapę o coraz mniejszej i mniejszej podziałce.

Wkrótce lot nasz prześciga najszybsze ptaki, gdyż pędzimy w tempie 300 kilometrowem, pozostawiając za sobą większe, lub mniejsze plamki miast i wsi, geometryczne wykresy rzek, gościńców i torów kolejowych. Nawet przy niewielkiej znajomości topografji orjentujemy się łatwo o kierunku naszego lotu, śledząc linję biegu rzek, lub błyszczących nitek kolejowych torów.

A jak cudowne rodzi wrażenia szybowanie ponad górskiemi pasmami. Tam, każda sekunda lotu rozwija przed nami, niby taśma przewijającego się obrazu kinematograficznego, odsłaniające nowe czarujące piękno krajobrazów górskich nie oglądane nigdy ani w fantazji nie przeczute.

Bez najmniejszego wysiłku zatapiamy wzrok w skalistych przepaściach, rozświetlanych modrości, zadumanemi w wieczności oczyma, górskich jezior.

Każda sekunda przynosi nam ciągle zmieniające się w swym charakterze i barwie widoki, które nikną przed nami szybciej, zanim zdołaliśmy ich wyobrażenia na kliszy naszego mózgu utrwalić.

Emocjonalne napięcie wzrasta aż do ostateczności.

Jesteśmy tak pochłonięci nowością i świeżością doznawanych uczuć, iż zapominamy niemal zupełnie o celu naszej podróży, o czekających nas obowiązkach. Całem naszem jestestwem rozpływamy się duchowo w eterze.

Wniebowzięci, w niebo wzniesieni, żyjemy boskiem życiem lotnika, a zanim przez tajniki mózgu przebije się zła i bojaźliwa myśl o bezpieczeństwie własnem, lądujemy już szczęśliwie z żalem opuszczając samolot, który uwiózł nas w nieznane dotąd krainy estetycznych wzruszeń. Odrodzeni duchową kąpielą podróży w przestworza z smutkiem chodzimy po ziemi.

mdd.

Na lewo: Krajobraz angielski, oglądany oczami pilota, szybującego w przestworzach. — Poniżej: A tu znowu las wysmukłych wież-kamienic: nowojorskie drapacze chmur.





DEUS EX MACHINA HISTORJI



Przeglądając karty dziejów świata na każdym niemal kroku odnosimy wrażenie jakiejś dowolności faktów, jakiegoś niezawsze logicznego zakończenia wielkich, na najszerszą skalę zakrojonych poczynań, odczuwamy brak niezamąconej linji postępowania i co chwila spotykamy się z tą fragmentarycznością. Jak w życiu poszczególnej jednostki, tak też w dziejach narodów istnieje, niestety, instancja, na którą przed nikim ani poskarżyć się nie można, ani jej usunąć: choroba i śmierć. Przerywa ona najwspanialej i najlepiej rozpoczęte dzieła, wali w gruzy tysiącletnie budowle.

Istotnie, aby dobrze zrozumieć ukrytą maszynerję historji narodów, aby móc dać odpowiedź na tyle zagadnień wychylających się z kart tejże księgi w postaci wielkiego, groźnie zakrzywionego znaku zapytania, trzeba poznać jej nieoficjalne zakamarki, zajrzeć nietylko na pola bitew lub do sal konferencyjnych, w których odbywały się wielkie narady narodów, ale poprostu do pokoju sypialnego wielkich ludzi. Trzeba oglądać ich nie w stroju odświętnym, ale w szlafroku i pantoflach, a wtedy wiele rzeczy stanie się dla nas zrozumiałe.

Ileż to bowiem wiekopomnych planów, ile wysiłków pokrzyżował w historji świata... katar! — Niewiele jest tylko wybitnych postaci w historji, którym danem było oglądać w pełni owoce swego życia, a co więcej doczekać się uznania. Klasycznym niejako przykładem, jak bardzo i najpotężniejsi muszą się liczyć ze swoim lekarzem, jest choćby Aleksander Wielki, jeden z najpotężniejszych monarchów wszystkich czasów, który podbiwszy w przeciągu kilku lat ziemie kilkanaście razy większe od jego ojczyzny, umiera ledwo trzydziesto-kilkoletni, a państwo jego rozpada się automatycznie na ziemie, rządzone przez jego wodzów.

Ogółem biorąc, mało jest ludzi tak narażonych na „defekty" zdrowia, jak właśnie wielcy tego świata. Możność zaspokojenia wszelkich zachcianek, nie liczenie się z okolicznościami, wkońcu duża doza uporu, która zwykle towarzyszy sukcesom życiowym — oto najważniejsze powody tego zjawiska. Należy również pamiętać o okoliczności, że życie człowieka, którego każdy krok niemal tworzy historję — daleko bardziej jest wyczerpujące, bardziej skondensowane, niż egzystencja „szarego człowieka". Życie takie daje zapewne dużą satysfakcję, ale wyczerpuje i niszczy prędzej.

Historja świata widziana od strony medycznej daje badaczowi tak wielkie i niespodziewane odkrycie, rozjaśnia tyle ciemnych jej zakamarków, że taki suplement historji powinien właściwie wiązać się ściśle z suchem wyliczeniem faktów. Stawianie wniosków „logicznych" w tej dziedzinie wiedzy jest bezwzględnie nieco zbyt śmiałem, gdyż nie wiadomo, czy w danym wypadku fakty potoczyłyby się takiem, a nie innem korytem, gdyby, dajmy na to osoba, tworząca historję, nie dostała w decydującym punkcie historji... ataku nerek! Czyby Polska była się stoczyła na bezdroża anarchji i sejmowładztwa, gdyby królowa Anna Ja-



Filip II.



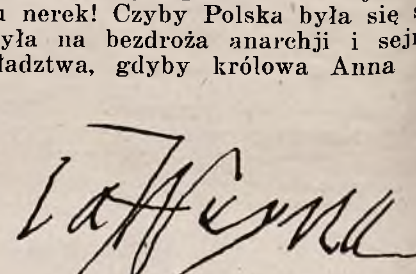
Karol V.



Napoleon Bonaparte (obraz pendzla Dawid'a).



Na lewo: Bitwa pod Lipskiem (według współczesnego rysunku Champion'a).



Na prawo: Podpis Joanny aragońskiej, zwanej Szaloną, wnuczki obłąkanego Henryka Żeglarza, króla portugalskiego.

giellonka była urodziła Stefanowi Batoremu syna? — Czyby Napoleon postradał owoce swych walk, gdyby nie był przegrał bitwy pod Lipskiem? — Czyby Austrja była się rozpadła na państwa sukcesyjne w roku 1918, gdyby nie poprzedziła tego faktu śmierć arcyksięcia Rudolfa? Czyby sprawa polska nie była przyjęła innej postaci, gdyby na terenie niemieckim nie był po wczesnej śmierci ces. Fryderyka zasiadł jego w niczem do niego niepodobny syn Wilhelm II? Pytań takich możnaby stawiać bez końca i snuć hipotetyczne odpowiedzi, w których jednak wszystkich języczkiem u-wagi danej kwestji jest nieubłagana choroba lub śmierć. — Oczywiście, że zwłaszcza w państwach rządzonych monarchicznie kwestja ta gra dominującą rolę, gdyż prywatne szczegóły życia dynastji odbijają się automatycznie na sprawach państwa.

Wertując stare pamiętniki, a co więcej historję badań lekarskich odnośnie życia i śmierci wielkich ludzi, przeprowadzonych przez słynnego lekarza-historyka dra Cabanès — spotkać się można z epizodami wstrząsającemi do głębi, ale też z drugiej strony z szczegółami nad wyraz pociesznemi. Słynne powiedzenie o długości nosa Kleopatry występuje wtedy z całą plastycznością.

Cała historja Habsburgów i Bourbonów, tych dwóch rodzin, które przez przeszło 600 lat „robiły“ politykę świata — jest splotem kombinacji, powiedziałbym — „intymnych“, nie znanych bliżej ogółowi, zachorzeń, demencji i całego kompleksu rodzinnego. Gdy w roku 1496 Filip austrjacki, — syn Maksymiljana, zaślubia Joannę Kastylską, — córkę Ferdynanda Katolickiego i Isabelli Aragońskiej, nieograniczone perspektywy władzy otwierają się przed dumnymi potomkami hrabiów szwajcarskich. Ale małżeństwo to wnosi na zawsze, bo aż do dnia dzisiejszego działający mikrob obłędu i ekscentryczności w tę rodzinę. Joanna Aragońska, zwana wkrótce potem Joanną Szaloną, lub Joanną zaczarowaną — „Juana la loca“ — wnuczka obłąkanego Henryka Żeglarza, króla portugalskiego, wnosi w rodzinę męża również chorobliwy erotyzm, a poza tem malarję, która wyniszcza organizm jej potomków. Natura ma swe kaprysy: syn Joanny Karol V-ty należy do największych monarchów świata i nie zdradza żadnych śladów chorób odziedziczonych, ale to są tylko pozory. Choroby te czają się we krwi Habsburgów, by znów wybuchnąć. Stąd rodzina ta wykazuje zasadniczo trzy typy ludzi: ludzi bardzo zdolnych i ekscentrycznych, ludzi małej inteligencji i „normalnych“ poza tem, a wkońcu wybitnych degeneratów. Do tych przeróżnych typów należy zaliczyć Maksymiljana meksykańskiego, arcyks. Karola, zwycięzcę z pod Aspern, Jana Ortha, Wölfinga, arcyksięcia Rudolfa, człowieka o wielkich zdolnościach i braku równowagi, arcyks. Ottona, rozpustnika — umierającego na najstraszliwszą chorobę ludzkości, upartego ale nieprzeciętnego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i tyluż innych. Z tego też obłędem zaszczepionego drzewa wyrasta Don Carlos, syn Filipa II, niesłusznie uważany przez literaturę i poetów za ofiarę swego ojca, gdyż według dzisiejszych badań lekarskich wykazywał niezaprzeczalne symptomaty obłędu.

Lecz przejdźmy do mniej może znanych epizodów historji, które nam wykażą, ile w wielkich rozgrywkach dziejów znaczą przejścia osób kierujących. Wszyscy historycy wojskowości zgadzają się prawie jednogłośnie, że bitwa pod Lipskiem w r. 1813 była do wygrania. Dlaczegóż Napoleon, niezwyciężony bóg wojny przegrał ją, rozpoczynając tem serję niepowodzeń, które zaprowadzą go na wyspę św. Heleny? Kiełkujący w cesarzu rak żołądka, który zmiecie zaledwie 54-letniego Napoleona, wybucha podczas tej batalji z całą gwałtownością, pozbawiając cesarza jasności myślenia w tak decydującej chwili. Analogiczny wypadek notują pamiętnikarze podczas układania Traktatu Wersalskiego. Prezydent Woodrow Wilson, chorujący od dłuższego czasu, zjawia się w Paryżu napół sparaliżowany, chory, zniechęcony do

Dokończenie na str. 26-ej.



Prezydent Woodrow Wilson jedzie w towarzystwie prezydenta Republiki francuskiej Raymunda Poincaré, witany entuzjastycznie przez tłumy. — Na lewo: Końcowa karta Traktatu wersalskiego, na której widnieje jako pierwszy podpis prez. Wilsona.



Na prawo: Maska pośmiertna Fryderyka Wielkiego.

Poniżej: Król Stefan Batory pod Pskowem (fragment obrazu Jana Matejki).





Na lewo: Gmach Opery w Paryżu.



GIEŁDA WYSOKIEGO C

Jak wiadomo z doświadczenia, gusty publiczności są dosyć dziwaczne, stawiając w jednym nieomal rzędzie wielkich mężów stanu, dyktatorów i... tenorów!! Zarówno jednym jak i drugim urządza się burzliwe manifestacje hołdownicze, a fotografje ich figurują w niejednem mieszkaniu, otoczone równym pietyzmem. O ile dyktatorów czy mężów stanu na powierzchnię życia wyrzucają niezależne od nas okoliczności, o tyle o tenorów trzeba się starać jak o pewien towar, potrzebny na rynku. Istnieją przecież na świecie setki teatrów, oper, sal koncertowych i t. d., które ciągle muszą przyciągać publiczność nowymi nazwiskami i nowymi walorami swego repertuaru..

Tak praktycznie nastawieni ludzie współcześni stworzyli stałą, niejako giełdę na walory głosowe i rok rocznie od lat z górą 10-ciu odbywa się w Paryżu jedyny może w swoim rodzaju konkurs tenorów, podczas którego nieraz wybijają się nowe zupełnie talenty, konkursy nie są rzeczą znowu tak bardzo zadziwiającą, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że całe południe Europy praktykuje „prywatne" występy artystyczne na ulicy i że kultura śpiewu jest tam przywilejem nietylko zawodowców, lecz niejako całego narodu. Coś podobnego spotkać można również we Włoszech, gdzie na przedmieściu Neapolu, w Piedigrotta odbywały się i corocznie jeszcze odbywają się konkursy piosenek popularnych, w których biorą udział liczni kompozytorzy, pochodzący nieraz ze sfer niezawodowych. Popisy pieśniarskie we Włoszech odbywają się oczywiście w obecności licznych wydawców, którzy natychmiast zakupują udatną piosenkę, ukazującą się wkrótce w druku.

Pomysł konkursu tenorów, do którego dopuszcza się wszystkich mieszkańców Francji jakichkolwiek by nie byli zawodów pod warunkiem, że skończyli lat 20 życia, a nie przekroczyli 30-tki, oraz zapisali się do konkursu, jest bezwątpienia bardzo trafnym, gdyż jak się okazuje, większość sławnych śpiewaków pochodziła ze sfer, które ze sztuką i z operą nie miały nic wspólnego. I tak najsławniejsi tenorzy, Caruso, Gigli, Szalapin nie mieli z operą nic wspólnego. Pierwszy bowiem był kiepskim kucharzem, a raczej „pomocnikiem" gastronomicznym, drugi malarzem domów, a trzeci robotnikiem portowym. A mimo to...

Typy przyszłych artystów, występujące na konkursach tenorów w Paryżu są naprawdę wysoce charakterystyczne i... niespodziewane. Zjawiają się tam kasjerzy z „Credit Lyonais" lub innych banków, przychodzą też kelnerzy kawiarniani, tapicerzy, taksówkarze i tyle innych osób różnych zawodów. Ale nie chodzi tutaj o personalja, lecz o ten drobiazg, kryjący się w gardle danej osoby, a który można odkryć dopiero po próbie.

Tegoroczny konkurs tenorów był może ciekawszy, niż poprzednie, a to z dwóch powodów: najprzód uczestnicy jego byli bardziej obiecujący, niż zazwyczaj, a następnie popis odbył się we wspaniałej sali Opery paryskiej, którą zechciał dyktator Opery paryskiej p. Rouché stawić do dyspozycji konkursu. Można było obserwować niebywale ciekawe obrazki, gdy przed zapełniającą się najwytworniejszą publicznością paryską salą mieli wystąpić przyszli adepci operowi. Niejeden z nich w zdenerwowaniu, zapominając o Bożym świecie, przechadzał się nerwowym krokiem za kulisami, cicho pośpiewując swoją arję, którą wkrótce olśnić miał jury. Inni znowu przybierali miny nadzwyczaj pewnych siebie, chcąc oszukać nietylko otoczenie co do swojej tremy, ale nawet samych siebie. Byli jednak i tacy, którzy znając walory swego głosu, nie bali się naprawdę i z całą świadomością ważności chwili śpiewali przed publicznością.

Opodal sceny zajęli miejsca panowie z jury, czekając spokojnie na rozpoczęcie popisu. Mieli miny zrezygnowane, gdyż czekała ich bądź co bądź niebylejaka praca, a wysłuchiwanie po 40 razy, tylu bowiem było zapisanych kandydatów, różnych utworów operowych, kanzonet i aryj, wykonanych nieraz dosyć „po domowemu", nie może pod żadnym warunkiem uchodzić za zbyt przy-



Na lewo: Wysokie „C" słynnego tenora Benjamina Gigli.





Na prawo: Tenor opery wiedeńskiej Alfred Piccaver. Dalej: Józef Schmidt, bohater filmów dźwiękowych.

PAN MI NIE WIERZY?...

Doskonała śpiewaczka i aktorka filmowa, Jeanette Mac Donald w swej ostatniej kreacji.





Ruch przed operą paryską w dzień konkursu.



W czasie konkursu zdarza się, że Mefisto śpiewa przy akompanjamencie Romea...



Zdobywca pierwszej nagrody śpiewa dla tłumu...



Jeden z uczestników konkursu przed mikrofonem, ustawionym na scenie opery.

jemne. Lecz trudno, od tego jest jury, aby się męczyło, kandydaci na śpiewaków operowych przecież też nie mają łatwej roli. Ogólny poziom produkcyj tych śpiewaków był wcale wysoki, chociaż niektórzy z nich głos mieli do baletu, jak to mówią i nadawali się jedynie do zamiatania foyer opery.

Wkońcu po ścisłem zbadaniu walorów głosowych debiutantów, pierwszą nagrodę w roku bież. przyznano Georges'owi Noré, 24-letniemu kasjerowi jednego z paryskich towarzystw ubezpieczeniowych. Młody ten człowiek przyjmuje postawę nieco nonszalancką, jak to się zdarza niejednemu Paryżaninowi. Mimo to jednak „zblazowanie" jakiś niespokojny błysk można spostrzec w jego oczach, znamionujący, że pierwszy sukces na deskach teatralnych na całe życie już pozostawi po sobie ślad i nie zezwoli mu „zasypiać gruszek w popiele", tylko pchać go będzie dalej — do mety. Gdy jeden z korespondentów pism paryskich zaprosiwszy młodego śpiewaka do redakcji swego pisma, mknął z nim pięknem autem do celu, serce Georges Noré wezbrało mimowoli i wyrwały mu się słowa:

— Teraz przynajmniej będę mógł śpiewać, kiedy mi się będzie podobało!

Nagrodzenie debjutanta na konkursie tenorów ma dla niego nietylko znaczenie czysto abstrakcyjne, pochlebiające jego ambicji, ale przedewszystkiem skutki praktyczne. Wnet znajdzie się engagement, które poprowadzi go na coraz to „lepsze" deski teatralne. — Jak się więc okazuje, paryska „giełda wysokiego C" jest dzisiaj instytucją bardzo potrzebną, stanowiąc źródło, z którego w przyszłości wypłyną nowe bożyszcza publiczności.

Jotem.



Enrico Caruso, najsłynniejszy śpiewak wszystkich czasów.



„Za moich czasów śpiewano inaczej"... — tłumaczy „weteran opery" rodzicom uczestników konkursu.

Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

5-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA.

— Nie mogę już znieść tego miasta i tego życia! — szepnęła z nienawiścią. — Kiedy myślę o Paryżu, gdzie się urodziłam i gdzie zawsze dotąd żyłam...

— Trzeba wiedzieć dokąd się idzie i z kim... Już pani zapomniała?

Oczy Roberty przyćmiły się nieco i Le Droz pożałował swego sarkazmu.

— Chciałem tylko zwrócić uwagę pani na pewną sprzeczność — powiedział prędko.

— Niema w tem żadnej sprzeczności... I nie zdając sobie sprawy, iż zaplątuje się w niebezpieczną sieć zwierzeń, Roberta mówiła dalej:

— Oszukano mnie... i co do celu i co do towarzysza podróży. Zdaleka Marokko zdawało mi się cudowną krainą... mirażem z Tysiąca i Jednej Nocy. Można zachować jeszcze jakiś czas to złudzenie, kiedy się jest w Fezie, lub w Marakesz. Ale ani chwili, kiedy się kto znajdzie tutaj, w tem wstrętnem prowincjonalnem miasteczku. Mój mąż, zdawna już osiadły w Casablance, nie przewidywał, że tak zareaguję na nią. A że nigdy jedno zło nie przychodzi bez drugiego, znalazłszy się tu, ledwie mogłam poznać w tym człowieku, zaprzątniętym wiecznie interesami, dbającym skwapliwie o stosunki, owego wesołego, swobodnego towarzysza kąpieli z Biarritz — owego Afrykańczyka, którego, zdawało mi się, że pokochałam w ciągu kilku tygodni wakacyj.

Jeszcze parę godzin temu, Roberta nie wiedziała wogóle o istnieniu Le Droza; a oto teraz, mówiła mu rzeczy, o których nie rozmawiała dotąd z nikim. Działo się to może dlatego, iż młody człowiek słuchał jej z wyrazem natężonej uwagi, nieledwie skupienia — a może dlatego, iż czuła konieczną potrzebę, aby ją ten człowiek zrozumiał i nie potępił.

— Kocham mego męża zawsze — ciągnęła dalej. — Ale dziś kocham go już inaczej. Wdzięczną mu jestem za jego przywiązanie, a szczególniej za swobodę, którą mi zostawia... tak przeciwną jego zwyczajom i tradycjom. Jeżeli wezmę pod uwagę, na jak strasznej pomyłce zbudowałam obecne moje życie, to mogę jeszcze powiedzieć, że mam szalone szczęście!

— Proszę mi pozwolić na jedno pytanie: czy pani wogóle uznałaby jakieś jarzmo?

— Żartuje pan chyba! — wykrzyknęła. — Oczywiście, że nie... skoro nawet i teraz... Ach, chciał pan powiedzieć, że to, co nazwałam szczęściem, to narzuciłam sama życiu? Że to jest wypływem mojej natury... Że ja także jestem rodzajem perłopławu?... Czy dobrze zrozumiałam? (I zaśmiała się bezdźwięcznie). W ten sposób gotowiśmy utworzyć bractwo, Vivant, pan i ja. Co do Vivanta, niech i tak będzie... To nie jest niebezpieczne... i nie szkodzi nikomu... Jestem jego przyjaciółką... bo tak się już stało między nami... Gdyby było inaczej, wyglądałoby to na brak uprzejmości z jego strony... a na brak przychylności z mojej — rozumie pan?... I jeszcze... Doprawdy, niema o czem mówić... Ale pan...

Nie kończąc swej myśli, urwała. Lecz wyraz jej oczu i nerwowość, przebijająca w głosie, sprawiły, że Le Droz, mimo, iż wyrzucał to sobie ze względu na Ivana — i ze względu na nią, bo pełno miała znajomych na sali — ująwszy kark młodej kobiety ruchem łagodnym i władczym zarazem — przybliżył do swych warg usta jej, bezwiednie dyszące pragnieniem. Powtarzając w duchu: „To źle — źle — nie mam prawa!" — myślał tylko o tem, by pocałunek zaciężył na jej wargach — stał się skuteczny, decydujący...

— Proszę pojechać na kilka dni do Paryża — powiedział potem. — Za chwilę możemy odlecieć. W południe będziemy w Tuluzie, a wieczorem zjemy obiad na Polach Elizejskich.

— Wie pan przecież, że nie mogę! — zawołała i głos jej stał się twardy niemal, tyle kosztowało ją to, że nie mogła pójść za swem pragnieniem.

— Dlaczego? Męża pani niema tu... Powie mu pani...

— Nie chodzi o męża... Ale o Vivanta. Nie opuszcza się w nieszczęściu przyjaciela.

W głosie jej Le Droz uchwycił tę samą nutę, która zabrzmiała przed chwilą w głosie pilota. Zadźwięczał w niej ten sam dziecinny, lecz niezłomny nakaz: punkt honoru. Dziennikarz odnalazł w nim swą własną koncepcję obowiązku — i wróciła mu ta rezerwa wobec młodej kobiety, którą początkowo nakazywało mu sumienie. I nie znalazł nic do powiedzenia, na ostatnie jej słowa.

Zapadło milczenie, pełne zakłopotania — jakiegoś żalu i urazy. By uciec od swych myśli, Le Droz zaczął przysłuchiwać się rozmowom, prowadzonym przy sąsiednich stolikach. Jedna z nich przykuła jego uwagę:

— Rozstrzelać go! — Tak, proszę pana! — Sąd wojenny i słupek! — Dla przykładu!

— Ależ, to mógł być przecież cywilny lotnik.

— W takim razie gilotyna. — Niechbym ja był sędzią przysięgłym — zobaczylibyście!

— No, trochę pan za daleko idzie. — Ale, że należy mu się zesłanie do karnych kompanij albo na roboty przymusowe, to pewne.

— Nie, kara śmierci! — Kara śmierci — i panowie lotnicy straciliby ochotę do takich popisów!

Odruch, niezależny całkiem od jego woli, poderwał nagle Le Droza. Faktem było, że przed chwilą próbował odebrać Vivantowi kochankę; nie przeszkadzało mu to jednak czuć się przynależnym do tej samej krwi — tej samej dżungli — i tej samej wiary, co tamten. Teraz, w obliczu tych tłustych kupców, tych gryzipiórków-śledzienników — tej całej ludzkości, do której wzbraniał się przyznać, jako do braci — przynależność jego własna do rasy, z której był młody pilot, wydała mu się rzeczą pewną i oczywistą.

— Durnie! — krzyknął. — Jeszcze nie uporaliście się więc ze strachem, który was obleciał? — Wszyscy, jak tu jesteście nie warciście jednego palca pilota, który was zmusił upaść plackiem i lizać uliczny gnój!

— Boże! — odezwał się jakiś otyły jegomość. — Może to on...

— Z pewnością! — Z pewnością! — mruknęło groźnie w tłumie.

Przez sekundę nawiedziła Le Droza myśl, że oto w jednej chwili gotów zepsuć wszystko, co uczynił, żeby uzyskać milczenie prasy. Już, już, miał załagodzić zajście i zażegnać bitkę, którą czuł w powietrzu. — Ale cofnąć się? — Zaprzeć się siebie — i zaprzeć Vivanta? — I to w obecności Roberty?

Le Droz chwycił krzesło i rzucił niem o ziemię z taką siłą, że popękały w niem pręty.

— Kto tę granicę przejdzie — temu śmierć zrobię! — oświadczył.

Wiedział — jako że był człowiekiem doświadczonym w nocnych przygodach — że wobec stanowczej i zdecydowanej postawy jednostki — popartej odpowiednią muskulaturą — sala, nawet wypełniona ludźmi zawaha się zawsze. I tym razem znalazł potwierdzenie tej prawdy. Uważał więc już zajście za zlikwidowane, kiedy jakiś oficer hiszpański, który właśnie wszedł do lokalu, rzucił się ku niemu — kopnięciem odwalił na bok zgruchotane krzesło i zawołał:

— Zabraniam panu wciągać tę oto



...w drzwiach ukazała się Roberta Elven...

panią w awanturę! — Powierzono mi ją.

Le Droz pomyślał: „Jest wprawdzie pijany — i cherlak w dodatku — ale cóż robić! Jeżeli zawaham się choćby sekundę, tamci rzucą się na mnie"' A równocześnie z błyskawiczną szybkością, lecz jasno i szczegółowo zobaczył w myśli scenę, którą należy mu zagrać, by utrzymać swój prestiż wobec galerji. Oto chwyci oficera pod pachy — podniesie go jak małe dziecko i wyrzuci poza wyznaczoną granicę.

I natychmiast zabrał się do rzeczy. Lecz w chwili, kiedy oderwał od ziemi Ramona de Jasarte, ten krzyknął rozdzierająco i Le Droz poczuł w rękach, jakby ciało bez duszy. Zapomniał o świecie całym i złożył Hiszpana na kanapce, mrucząc:

— Z cukru lala — czy co?

Poczem głosem, od którego zamarł w jednej chwili zgiełk i znieruchomiał tłum wokoło, rozkazał:

— Rozstąpić się — zemdlał.

Usłyszano wtedy histeryczny jęk kobiecy:

— Zabił go!

I stado ludzkie posunęło się znowu o jeden krok naprzód. Le Droz zwrócił się frontem do sali — pobladły i straszny. Lecz w tej samej chwili rozległ się cichy szept, który uśmierzył groźną postawę tłumu:

— To nie on — dyszał Jasarte — to ból... Mam w boku otwartą ranę...

Tymczasem do lokalu weszli posterunkowi policji. Właściciel restauracji wskazał im Le Droza. Lecz w sali panował już względny spokój i kiedy jeszcze oficer hiszpański poręczył słowem honoru zupełną niewinność dziennikarza, strażnicy bezpieczeństwa zadowolnili się kieliszkiem, którym uraczono ich przy bufecie.

— Co panu jest? — zapytał Le Droz hiszpańskiego lotnika.

— Drobnostka — ale szczypie nieźle! — Kiedyśmy lecieli tutaj, dostałem kulką w bok od takiego arabskiego czarta. (Doskonały musiał być zresztą strzelec!). Opuściłem się na stację ratunkową i kazałem opatrzyć sobie ranę. Nie była ciężka: kula przeszła ukośnie na wylot. Więc poleciałem dalej, nie zważając na krzyki Hernandeza. Chciałem zobaczyć karnawał... W ten sposób poznałem Vivanta i ten przysłał mnie tu, by złożyć uszanowanie moje pani. — To wszystko. — Ale, na Madonnę! — trochę mocno pan ściska...

— Trzeba iść natychmiast do szpitala — zawyrokował Le Droz.

— Nie mówi pan serjo chyba! — Chcę szampana! Zasłużyłem nań. — Zresztą, dałem słowo Vivantowi. — Garson butelkę. Sekt i dobrze zamrożony. — Zobaczycie państwo, po jednej szklance nie będzie już śladu bólu.

Lecz butelka cała nie zdołała postawić na nogi Ramona.

— Trzeba zmienić opatrunek — wyznał wreszcie. — Bandaż usunął się — i krwawię znowu...

Le Droz wziął go na ręce i skierował się do drzwi.

— Ee, panie — a rachunek?! — zastąpił im drogę gospodarz.

Bez słowa Le Droz usunął go ramieniem. Za chwilę Roberta ruszyła już autem.

W drodze Jasarte w urywanych słowach opowiedział im, że udało mu się przebłagać pułkownika i że Vivant zostaje tylko dla zasady ukarany.

— Byleby tylko prasa nie zaczęła ujadać. — Od tego wszystko zależy — dodał.

Le Droz oparł dłoń na ramieniu Roberty, jakby ją brał w posiadanie.

Skoro dojechali do szpitala, dyżurny sanitarjusz wziął w opiekę Ramona. Lotnik zaciskał zęby, żeby nie szczękać nimi z bolu; lecz nagle zawołał:

— Nie mogę przecież kazać państwu płacić za mój szampan! — Czekajcie!

— Żartuje pan chyba — odparł porywczo Le Droz.

— Nie, nie! — Nigdy nie darowałbym sobie... — upierał się Jasarte i otworzył portfel.

— Nie mam ani centyma... — wyszeptał ogromnie zawstydzony. — Hernandez ma moje pieniądze — to mój skarbnik. Zabrał mi, żebym nie puścił wszystkiego... Znajdziecie go państwo... Ale nie, co ja też mówię. — O dzięki Ci Boże! — Ma pan, proszę to wziąć. To książeczka naszej loterji państwowej. Dadzą panu za nią napewno 200 do 300 franków. Tyle mniej więcej jestem winien.

I wetknął książeczkę do kieszeni Le Droza.

— Proszę wziąć — szepnęła Roberta. — Nie sprzeciwiać mu się. — Widzi pan przecież, jaką ma gorączkę. Aż trzęsie się cały. — Wyczerpany biedak zupełnie... Odeśle się mu ją z Paryża.

— To niech ją pani schowa do torebki.

I w ten sposób zadecydował się ich wspólny wyjazd do Paryża.

Przybywszy na lotnisko Roberta powierzyła wóz i list jednemu z mechaników — i wsiadła do samolotu. Tam, w dali, otulony ostatniemi mrokami pierzchającej nocy, był Gibraltar — hiszpańskie sjerry — czar powietrza nad francuską ziemią — i światła Paryża.

— ¡Kocham cię! — rzekła Roberta do Le Droza.

On zaś powtórzył machinalnie, niby refren melancholijny:

— Wie się zawsze dokąd się idzie i z kim...

* * *

Odstawiając auto Roberty do garażu, mechanik zatrzymał się przed jedynym otwartym jeszcze o tej porze szynkiem. Znalazł w nim Vivanta, robiącego akrobatyczne ćwiczenia na brzegu bufetu.

— Myślałem, że cię przymknęli — rzekł mechanik.

— O, znudziło mi się siedzieć. Nie mogłem wytrzymać — i drapnąłem. Tylko nie mów nic Ludwikowi. — Wielki to dziś dzień dla mnie, Bebert! — I żeby już wielki był w pełni, trzeba mi jeszcze odnaleźć moją przyjaciółkę, pewnego sportowca (wspaniały chłop, mówię ci!) — i pewnego oficera hiszpańskiego.

— Dwoje pierwszych widziałem — i mam tu coś dla ciebie.

Vivant odczytał pospiesznie kartki, pokryte dużem prostem pismem, które donosiły mu o ranie Ramona de Jasarte i o ucieczce Roberty z Le Drozem.

Skończywszy, Vivant wzniósł swe skośne oczy do nieba. — Napotkał tylko zadymiony sufit szynku i rzekł:

— Powarjowali wszyscy!

II.

Wóz sądowej hali aukcyjnej zatrzymał się przed pewnym domem na quai de Passy. Potężne dyszlowe konie parsknąwszy rozgłośnie, stanęły nieruchome, jak dwa rumaki z bronzu. Żałosne skrzypienie wozu, szczęk naczyń i metalowych przedmiotów wstrząsanych ciężkim kłusem w jego wnętrzu, ustał odrazu. Z wozu zeskoczyło dwóch ludzi w długich czarnych kitlach i ceratowych kaszkietach. Podobni byli całkiem do koni, które ich przywiozły: byli silni i cierpliwi — stworzeni do przenoszenia ciężarów i do czekania.

Na ósmem piętrze zadzwonili dyskretnie — bowiem zimny przepych połyskliwych schodów, ich rampy i ściany klatki schodowej, tchnęły w nich pewnym szacunkiem. Zatrzask wolno obrócił się i w drzwiach ukazała się Roberta Elven w lekkiej wzorzystej pyjamie; ze zdumionej jej twarzy nie ustąpił jeszcze całkowicie sen.

— Przysyła nas tu pan Dornain — przemówił jeden z chłopów.

— Dornain?

— Komornik z Faubourg Saint Honoré. (C. d. n.)

OCZY PIĘKNEJ PANI





Jasne, marzycielskie oczy, o brwiach naturalnych, tylko przy końcach wycieniowanych.

Naturalnie, że wiemy o tem doskonale, iż „oczy są zwierciadłem duszy", albowiem czytałyśmy to już niejednokrotnie w starych pensjonarskich albumach czy „pamiętnikach", w zbiorkach „złotych myśli" oraz na poniektórych efektownych pocztówkach z „kobiecemi główkami". Wobec tego o piękna pani — noblesse oblige, trzeba się koniecznie postarać i o piękne oczy.

Te starania przedsięwzięte na własną rękę przez niektóre istoty, dają — trzeba przyznać wprost niesamowite efekty i niejednokrotnie możnaby poważnie zastanowić się na temat — „jak ta kobieta to robi — żeby zrobić z siebie coś podobnego". Ale nie dziwmy się — przecież to chodzi o wykazanie, że się posiada... piękną duszę.... Nieumiejętne zabiegi, przedsięwzięte w celu posiadania pięknych „głębokich", „powłóczystych", „interesujących", „tajemniczych", „pełnych słodyczy", „cudownie ocienionych' i t. d., i t. p. oczu. To detal — że fatalnie narysowana ciemna obwódka naokoło oka czyni je podobnem do oka wystraszonej kury, to głupstwo wreszcie — że niewprawnie, lecz z dobrą intencją „podciemnione" oko robi wrażenie, jakby kobieta wstała dopiero co po bardzo ciężkiej chorobie, lub poprostu miała je brutalnie... podbite.

I co właśnie w tem wszystkiem jest najdziwniejsze — to fakt, że właśnie te pięknookie wykazują niesłychany talent w kierunku przekonania bliźnich, że wcale, a wcale nie mają pięknych oczu. Możnaby przypuszczać, że robią to li tylko przez perwersyjną skromność. A zatem parę uwag o oczach — pięknych, ocienionych, wyrazistych itd. itd. Wystarczy więc przyjrzenie się osobie o oczach pozbawionych rzęs wskutek wypadku, lub z przyczyn chorobowych — żeby skonstatować, jak wielkie ma znaczenie ten lekki cień, jaki rzucają otaczające oko rzęsy, jak wiele dodają uroku.

Zarówno zbyt cienka i nierówna, czy też ładna linja brwi, jak i rzadkie, małe, lub długie, gęste rzęsy — stanowią ramę podkreślającą, lub zacierającą piękność oka. — I nigdy ani barwa, ani wielkość źrenicy nie wydadzą się tak wspaniałemi jak są, jeśli nie będą posiadały godnej, pięknej oprawy. I dlatego to, chyba od początku świata, kobiety używały najróżniejszych środków



Sztucznie zakreślone łuki brew, przy ciemnej oprawie oczu.

i kosmetyków dla podłużenia rzęs, dla przyciemnienia brwi i powiek, dla nadania w ten sposób oku większej wyrazistości, podkreślenia jego błysku i uroku spojrzenia.

Mimo daleko idących ustępstw w zakresie „maquillage" nie zawsze jest wskazane malowanie się. Nie każda uroda wymaga podkreślania — nie dla każdej jest to z korzyścią. Jeśli więc pani posiada piękne, gęste brwi i rzęsy — zabiegi wyglądają zgoła inaczej, niż w wypadku pewnego niedostatku w tym zakresie. Wystarczy wtedy zgolenie, lub usunięcie w sposób bardziej bolesny, ale zato niezawodny kilku tylko włosów z brwi — jeśli psują ich czystą linję — i ładne, równe zczesanie ich i wyszczotkowanie maleńką szczoteczką. A rzęsy? — pociągniemy je cienką warstwą dobrej, czystej waseliny, aby były pięknie lśniące. Jeśli pani znajdzie miękką, dobrą szczoteczkę do rzęs — doskonale im zrobi przeczesanie, oczywiście wtedy oko jest otwarte i podczesujemy rzęsy ku górze. Nie zapominajmy też, że oko wymaga tłuszczu — należy smarować lekko powiekę, oraz brzeg powieki — waseliną, lub jakim dobrym olejkiem.

Jeśli zauważymy ze zgrozą, że rzęsy są suche, łamliwe i zaczynają wypadać, należy udać się do lekarza. Przyczyną bywają, jak już wspomniałam, złe gatunki barwników do rzęs. Jeśli pani więc stosuje coś takiego — trzeba koniecznie zwracać uwagę na markę. Lub też poprostu wypróbować, który gatunek nie drażni powieki.

Ponieważ codzienne przyciemnianie rzęs jest bardzo kłopotliwe, bardzo wiele pań przekłada nad nie przyciemnianie trwałe, które utrzymuje się przeciętnie na przeciąg trzech tygodni. Te barwniki przeważnie są nieszkodliwe, należy tylko umieć dobrze się z niemi obchodzić. Ewentualnie powierzyć się jakiemuś dobremu zakładowi kosmetycznemu. Musi to jednak robić dobra, wprawna kosmetyczka, gdyż nieumiejętnie lub też w niehigienicznych warunkach wykonany zabieg, może mieć smętne następstwa. Przedewszystkiem zaś zwracajmy uwagę na dezynfekowanie łopateczek, któremi nakładana jest farba na rzęsy, gdyż w ten sposób może się przenieść na oko jakaś infekcja. Pozatem — jeśli warunki higieniczne będą w zupełności zachowane — pod względem praktyczności ten sposób przyciemniania rzęs jest niezastąpiony, zwłaszcza, jeśli chodzi np. o jakąś wycieczkę, podróż, używanie sportów wodnych.

Ten sposób nie nadaje się pozatem rzęsom owej grubości i pewnego wygięcia do góry, jakie osiągamy, przyciemniając rzęsy



Rzęsy wzmocnione kredką, nadają oczom specyficznego powabu...

tuszem. To jednak zależy już od indywidualnego gustu pani. Ale w każdym razie jest pani wtedy na jakiś czas wyzwolona z okrutnego codziennego obowiązku używania tuszu i szczoteczki.

Wartoby jeszcze pomówić o „podkreślaniu oka" kredką, lub tuszem. Otóż niektóre kobiety bez wyraźnej przyczyny stosują podkreślanie powieki kreską za pomocą czarnego, lub bronzowego ołówka. Ten zabieg bardzo rzadko daje efekt upiększający. Oko w ten sposób zostaje ograniczone, zmniejszone i nabiera dziwnego wyrazu.

Marzenna Saryusz Stokowska.

Poniżej: Oczy w naturalnej oprawie.



Zrobię to sama!

Pulowerek z włóczki z angory „Liljana"



Pulowerek z „Liljany".

Pulowerek ten bardzo miękki i ciepły, nadaje się szczególnie dla osób młodych, dlatego podajemy wymiary kroju na małą wielkość. Nadaje się on szczególnie dla osób zmuszonych przebywać przez przeciąg kilku godzin w miejscach niezbyt dobrze ogrzanych, a więc w biurach, urzędach itp.

Materjał: ok. 20 g. włóczki z czystej angory z kolorową nitką „Liljana" marki „Trójkąt w Kole", oraz 4 ozdobne guziki w odpowiednim, ciemnym kolorze. Druty Nr. 3, 5, oraz 2, 5.

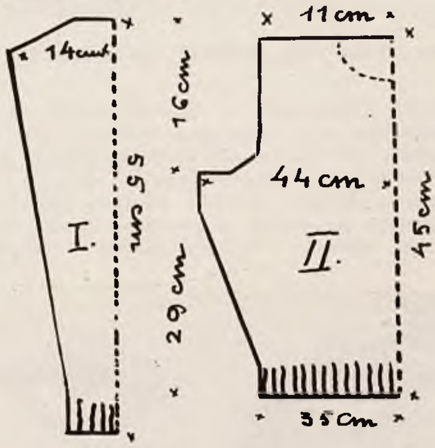
Ściegi użyte: ściągaczka pojedyncza i ścieg „francuski".

Ściągaczka pojedyncza: w pierwszym rzędzie przerabiamy naprzemian 1 oczko wprost, 1 nawywrót. W dalszych rzędach wypadają stale oczka prawe na prawych, lewe na lewych. Ściągaczkę wykonujemy na cieńszych drutach.

Ścieg „francuski": przerabiamy w rzędach idących tam i spowrotem po obu stronach roboty stale wprost.

Zaczynamy robotę od dołu przodu i pleców, które wykonujemy oddzielnie wg. schematu kroju. Schemat ten najlepiej przerysować w wielkości naturalnej przed zaczęciem roboty i przymierzać często do niego poszczególne części w czasie roboty. (Na modelu zaczęto przód i plecy po 70 oczek). Przerabiamy najpierw do wysokości 5 cm ściągaczką pojedynczą, poczem ściegiem francuskim, dodając z boków, po obu brzegach roboty, po jednem oczku co 6 rzędów. Po osiągnięciu wysokości 20 cm przestajemy dodawać. Na wysokości wycięcia na rękaw zakończamy po obu brzegach roboty po 8 oczek, poczem ujmujemy w następnych rzędach po jednem oczku na początku i na końcu każdego rzędu, póki nie zostanie tyle oczek, ile trzeba na szerokość przodu, albo pleców (po 34 cm). Teraz przerabiamy dalej ściągaczką pojedynczą. Na wycięcie przy szyi dzielimy robotę w środku przodu, zakończamy 5 środkowych oczek i wykonujemy obie połowy przodu, ujmując na brzegach wycięcia, jak opisano przy wycięciu na rękawy. Następnie przerabiamy jeszcze kilka rzędów bez ujmowania i zakończamy oczka. Brzeg wycięcia nabieramy teraz na druty i obrabiamy wysoką na 3 cm obwódką ściągaczką pojedyńczą.

Rękawy zaczynamy od góry (po 12 oczek) i przerabiamy ściegiem francuskim, dodając po jednem oczku na początku i na końcu każdego rzędu, póki obwód zaokrąglenia rękawa nie będzie równy obwodowi wycięcia na rękaw w przodzie i plecach. Teraz przerabiamy dalej, ujmując po jednem oczku z obu brzegów roboty w co 6-tym rzędzie. Na zakończenie przerabiamy do wysokości 8 cm mankiet ściągaczką pojedyńczą. Teraz zeszywamy wszystkie części od lewej strony, pozostawiając zapięcie na lewem ramieniu. Brzeg zapięcia od strony pleców obrabiamy półsłupkami, dorabiając listewkę. Zapinamy sweter na zatrzaski. Teraz przyszywamy na brzegach wycięcia na ramionach



Objaśnienie schematu kroju: Krój na 88 cm. obwodu klatki piersiowej. — I.: połowa rękawa. — II.: połowa przodu, względnie pleców. Linja kreskowana oznacza wycięcie przy szyi z przodu. Liczby oznaczają wymiary w centymetrach.

guziki, po 2 na każdym brzegu, poczem łączymy je pętelką z łańcuszka szydełkowego. Szydełkujemy w tym celu łańcuszki długie po 20 oczek, łączymy je w kółko. poczem zeszywamy to kółko w środku, tworząc podwójną pętelkę, którą zapinamy na guziki. Z przodu zakładamy pod spód obwódkę i przytrzymujemy ją niewidocznym ściegiem, jak widać na rycinie. Ti.



Dokończenie ze strony 19-ej.

wszystkiego, temu też stanowi jego zdrowia należy przypisać wiele niedociągnięć, wiele rażących nielogiczności w Traktacie, na którego tok układania chory prezydent już nie miał siły wpłynąć. Jedynie Clémenceau, Foch, Pasicz i kilku innych mężów stanu ostatnich czasów, cieszyło się tak silnem zdrowiem, że nadawało ono ich działalności logiczną ciągłość.

Poza temi tragicznemi stronami ludzkich niedomagań znajdujemy też inne, bardziej pogodne anegdotyczne. I tak np. dla swej logiki, mądrości i rozsądku sławiony Wielki Fryderyk był wobec samego siebie najbardziej lekkomyślnym człowiekiem. Będąc od młodości nad wyraz delikatnym, gustował w bardzo silnie zaprawionych potrawach, co, rzecz prosta, przyprawiło go o silne bóle. Przez czterdzieści kilka lat hołdował on tym upodobaniom kulinarnym, walcząc w następstwie dzień w dzień nieomal z kurczami żołądka, nudnościami itd. Doszło do tego, że jego francuscy kucharze nie umieli już żadnej potrawy odpowiednio mu przyrządzić, gdyż każda wydawała mu się zbyt... mdłą. To życie króla, składające się z wytężonej pracy od 4 rano i walki z własnym organizmem, jest wręcz unikatem w swoim rodzaju.

Mówimy tu przeważnie o postaciach z historji obcych narodów: nie możemy niestety z równą pewnością przytoczyć epizodów z naszej własnej, gdyż pod tym względem historyczna, literatura polska za mało posiada jeszcze dzieł fachowych, rozpatrujących postacie historyczne pod kątem widzenia nie męża stanu czy króla, a poprostu człowieka. Jedną z najbardziej tajemniczych śmierci w naszych dziejach był zgon króla Stefana Batorego. Historyk stanisławowski, biskup Albertrandi, w swej historji króla przytacza list nadwornego lekarza elektora brandenburskiego Leonarda Thurneisera, pisany 1-go lipca 1578 roku, w którym tenże wyraża się: „...posyłam W. K. MCI antydotum czyli Alexipharmacum przeciw wszelkiej truciźnie, przystosowane do natury i kompleksji W. K. MCI. Balsam ten z niemałą pracą sporządziłem stosownie do prawideł kabalistyki i magji naturalnej, bo złość ludzka do tego stopnia doszła, że ostrożnym być należy nietylko w jedzeniu i piciu, ale nawet w ubiorze, umywaniu, dotknięciu. Bo zdrada skrywać się może w sprzętach rozmaitych, w stołkach, ławkach, których, gdy się kto dotknie, albo przez nie przestapi, życie utracić może...". Zarówno znamiennym jest ten list, jakoteż fakt, że lekarze ówcześni, Piasecki, Mikołaj Buccella, Szymon Simoni z Lukki, leczący króla, nie mogli nawet po sekcji zwłok zgodzić się na powód śmierci. Piasecki twierdził, że była nim epilepsja, zwana naówczas „kadukową niemocą", Buccella natomiast znalazł we woreczku żółciowym kamień wielkości muszkatułowej gałki. Wobec tego jednak, że tenże Buccella ofiarował się Krzysztofowi Zborowskiemu usunąć króla z tego świata, świadectwo jego jest bardzo podejrzane. I znów automatycznie nasuwa się pytanie: jakiemi drogami Polska byłaby poszła, gdyby król Stefan prowadzący własną wielkomocarstwową politykę popartą świetnemi czynami oręża, nie umarł przedwcześnie w Grodnie?

W historji państw i narodów niejednokrotnie już przypadek zmieniał całe okresy polityczne.

Jan Maleszewski.

AS **Kupon konkursu na „Najpiękniejszy Uśmiech"**
Nr. 30 z dnia 22 września 1935

Życie towarzyskie i artystyczne

RUNOWIECKA I LAWIŃSKI W KRAKOWIE.



Nowy sezon w jedynym krakowskim teatrze rewjowym „Bagatela" rozpoczął się pod znakiem występów doskonałej trójki artystów: Hanki Runowieckiej, Ludwika Lawińskiego i Tadeusza Pilarskiego. Kierownictwo rewji objął mistrz humoru Lawiński, którego widzimy na zdjęciu w towarzystwie mjr. Nowakowskiego na tarasie „Pałacu Prasy". Fot. „As".

SUKCES SZTUKI KRAKOWIECKIEGO.



Krotochwila Anatola Krakowieckiego p. t. „Sezamie otwórz się!" ukazała się na scenie Teatru Nowego w Poznaniu, zyskując duże powodzenie. Wesołe perypetje akademików-śpiewaków ulicznych budzą szczery śmiech na widowni. Ilustracja nasza przedstawia scenę z pierwszego aktu, w której akademicy wykonują piosenkę kompozycji Adama Lenczowskiego. W środku widoczny Jerzy Sulima, grający Julka Gondę, na prawo zaś Zbigniew Koczanowicz (Franek).

★ ★ ★



Na lewo: Na czoło zespołu rewji krakowskiej „Bagateli" wybija się Hanka Runowiecka, którą zarówno pierwszorzędne warunki zewnętrzne, jak i wysoce artystyczna interpretacja piosenek stawiają w rzędzie najlepszych naszych diseuses.

WEEK-END SELMY LAGERLÖF

Znakomita szwedzka pisarka bawi na zamku Torup w południowej Szwecji, gdzie zaproszona została przez baronową Henriettę Coyet, jej gorącą wielbicielkę. Na zdjęciu, które poniżej reprodukujemy, Selma Lagerlöf wraca z przechadzki do zamku w towarzystwie swej przyjaciółki i jej męża.




1


2


3



W RYTM LUDOWEJ PIOSENKI...

Nigdzie w Europie nie dochowało się tyle ludowych zwyczajów, tańców i pieśni z ubiegłych wieków, jak wśród ludności półwyspu bałkaskiego. Jest on przecież, jakgdyby korytarzem, przez który tyle narodów przeszło, pozostawiając barwność swych strojów i różne cechy narodowe. Rzymianie, Gotowie, Wenecjanie, Genueńczycy, Turcy. — Wszyscy wycisnęli swe piętno. W Spalato czaruje stary pałac Dioklecjana, pod lipami i orzechami północno-słoweńskich wsi można mieć złudzenie, że się jest w Niemczech, a na wybrzeżu widnieje lew św. Marka umieszczony nad bramami z granitu, w Bośni i Hercegowinie zaś igły minaretów opowiadają o zwycięstwie Islamu. Pewnego razu w bogate miasta, zbudowane przez kupców, wdarli się ze stepów Azji centralnej Turcy, podobni w swej żywiołowej wędrówce do jakiejś potężnej lawiny. Na czele ich kroczył sułtan Mohamet Zdobywca. Wkrótce też i na Słowian południowych spadła fala azjatycka z niebywałą gwałtownością.

Czasy, które nastąpiły noszą nazwę wieku bohaterskiego. Wielu ludzi chroniło się wśród białych skał wapiennych Karstu, aby prowadzić koczownicze życie ludzi leśnych, rzucać się raz poraz na przejeżdżające karawany tureckie i prowadzić stałą i zasadniczo rozpaczliwą walkę podjazdową z potęgą, która od Azji rozciągała się aż po granice Polski. Pieśń ludowa wspomina o tych bohaterach, n. p. o Marku Kraljewiczu. Mówi ona, że Marek jak piorun zjawiał się wśród swoich rodaków unosząc zabrane Turkom dukaty, że sypiał w grocie górskiej, a w dzień przygotowywał swe wypady bojowe.

Siwi starcy przysłuchują się starym pieśniom, którym akompanjuje gęśla — oryginalny, jednostrunowy instrument, pochodzący również z dawnych wieków. Podczas świąt i jarmarków ze wszystkich stron kraju przybywają goście w różnorodnych strojach narodowych, ożywieni słowiańską werwą i zamiłowaniem do żywych kolorów. Zbierają się potem na polanach, gdzie stare tańce, od wieków konserwowane w tej samej formie, stają się punktem atrakcyjnym całego święta. Piecze się tam na rożnie całe jagnięta, do których podają zieloną paprykę, palącą, jak ogień a popija się to mięsiwo śliwowicą, podczas gdy cyganie grają na harmonji i skrzypcach przyśpiewując stare piosenki z Karstu.

W takich to okazjach oko nie może się dosyć nacieszyć żywością barw i atrakcyjnością strojów. Białe zasadniczo stroje jugosłowiańskie są haftowane w różnych kolorach — fioletowym, zielonym, szarym — posiadają nieraz ciężkie, wspaniałe, brokatowe naszycia. Na wstęgach, lub chustkach, któremi kobiety głowy sobie zawiązują, znajdują się znaki, które dobrze poinformowanemu zdradzają ojczyznę jego, ale też informują, czy dana kobieta jest dziewczyną, mężatką, rozwódką, czy wdową. Nawet co do religji można się zorjentować, gdyż zielone obramowania sukien przypominają zieloną chorągiew Proroka i świadczą o przynależności do wiary Mahometa.



Na lewo: Taniec pełnych temperamentu Słowaków z Nowego Sadu.

Tego rodzaju uroczystości są okazją do wspaniałych imprez tanecznych, gdyż zarówno Serbowie, jak Bułgarowie, Macedończycy, Kroaci i Słoweńcy posiadają wspólny taniec zwany „koło". Jedynie Kroaci z Dobryni, na wyspie Krk posiadają bardziej skomplikowany taniec, którego figury przypominają kadryla. Naród ten noszący dotychczas czarne, żałobne stroje nawet dziś nie zapomina o pamiątce żałobnej po zaginionym przed wiekami księciu Zrinskim Frankopane, którego nazwisko jest przekręceniem włoskiego nazwiska Frangipane. Kroaci z Białego Monastyru posiadają dużą przymieszkę krwi madziarskiej, to też ich taniec przypomina czardasza. Słoweńcy zwani Bunievci, posiadający również krew madziarską tańczą natomiast taniec cygański zwany „Ciganico", pochodzący z niziny węgierskiej. Nadwyraz ciekawe światło na stanowisko kobiety Bałkanów rzuca

1. *Muzykanci z Białego Monastyru używają starego kroackiego instrumentu zwanego „Tamburasi".*
2. *Taniec kroacki „Baranja".*
3. *W miejscowości Gjevgjelja, ludność jugosłowiańska tańczy tradycyjny „taniec szabel".*
4. *Na pograniczu Jugosławji i Węgier ludność odznacza się kosztownością strojów narodowych.*



pewien taniec serbski ze Skoplje. Udział w nim biorą dzielni, dobrze zbudowani mężczyźni o marsowym wyglądzie, którzy z wielką godnością i gracją poprzedzają w tańcu nieco ciężkie i niezgrabne kobiety, zmęczone codzienną pracą. W tych okolicach kobieta całuje mężczyznę w rękę, nie zjawia się, jeżeli są goście przy stole i często widzi się na ulicach mężczyzne, jadącego na ośle, podczas gdy kobieta niosąc na plecach różne ciężary, idzie za nim.

Bogaci chłopi z Giewjeli tańczą jedynie podczas imprez dobroczynnych, taniec mieczów zwany „Rusalie". Dziewczęta z tych okolic noszą na sukni ponaszywane złote i srebrne monety, które stanowią ich posag. Zwyczaj ten zachował się od czasów wędrówki narodów, kiedy to Alaryk z Gotami przeszedł przez góry bałkańskie. Sam taniec pochodzi z czasów tureckich.

Kroaci, pochodzący z wyspy Corcula, gdzie według legendy miał się skryć Antenor z Troi, posiadają ogromnie oryginalny taniec średniowieczny, łączący się ze zwyczajem wykradania przyszłej żony. Nazywa się on „Morezka" i pochodzi może z czasów, kiedy panowanie nad tym krajem wykonywała Genua. Treścią tańca jest, że bohaterski Moro, który królowi tureckiemu wykradł narzeczoną prowadzi z nim walkę, używając dwóch mieczów, i wkońcu mu w walce ulega. Również dawne czasy przypomina taniec „Kumpanija" odnoszący się do wojny z piratami morskimi. Podczas tańca zjawia się jakiś oficer, powiewający chorągwią, a kapral ubrany niewiadomo dlaczego w mundur napoleoński, melduje mu, że obywatele zebrali się już, celem stawienia oporu nieprzyjacielowi.

Wszystkie te narody bałkańskie wkładają w swoje tańce ogromną witalność i tańczą je z całym zapałem. Z poważną zupełnie miną przysłuchują się starym legendom o dawno zmarłych bohaterach, co byłoby dla nas, mieszkańców środkowej Europy niezrozumiałem. Trzeba przyznać, że rząd jugosłowiański robi wszystko co tylko możliwe, aby utrzymać dawne tradycje wśród ludu zarówno, co do strojów, jak i tańców i pieśni ludowych. Wobec takiej troskliwej opieki można się spodziewać, że przetrwają one jeszcze długie wieki. **B. R.**



Powyżej: obrzędowy taniec „Rusalija".
Na lewo: Muzycy słoweńscy z Białej Krainy.

PRZEPISY

nodoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

OZORKI CIELĘCE W POMIDORACH. Ugotowane ozorki cielęce obciąga się z błony i dusi na maśle z cebulką. Pod koniec wkrawa się kilka pomidorów, dodaje kawałeczek cynamonu i dusi dalej aż wszystko zmięknie. Wyjęte mięso kraje się skośnie, sos zaprawia łyżeczką mąki i wylewa przefasowany na ozorki.

ZUPA Z MLECZEK CIELĘCYCH. Duże mleczko, odcięte z mostku cielęcego, sparzyć i dusić następnie na maśle z dodatkiem całej małej cebulki. Po godzinie duszenia wyjmuje się mleczko, cebulkę odrzuca, a na pozostałe masło wsypuje się łyżeczkę mąki, zasmaża, zalewa dobrym rosołem, dodaje posiekane mleczko, zagotowuje i wydaje na grzankach z bułki. Zupę tę podaje się ozdrowieńcom i dzieciom, gdyż jest smaczna i łatwo strawna.

RULADA GRZYBKOWA. Ubić pianę z 4 białek, dodać 4 żółtka, po jednem, ciągle mieszając i 4 łyżki mąki oraz szczyptę soli i pieprzu. Upiec na wysmarowanej masłem blaszce. Osobno udusić grzybki w maśle z cebulką, podprawić zasmażką lub jajami, aby były gęste, wyłożyć na biszkopt, zwinąć i krajać w skośne kawałki. Biszkopt musi być zwijany na gorąco, inaczej będzie się łamał, należy go więc piec wtedy, gdy już grzybki są gotowe.

BUDYŃ BIAŁO-ZIELONY. 4 bułki, otarte ze skórki wierzchniej, rozmoczyć w mleku, wycisnąć i utrzeć z łyżką masła i trzema żółtkami, wymieszać z pianą z 3. lub 4. białek i podzielić na dwie równe części; do jednej dodać 2—3 łyżek zmielonego i uduszonego szpinaku tak, aby masa przybrała kolor zielony, do drugiej, łyżkę śmietany i łyżkę tartej bułki. W formie budyniowej lub w braku tejże w rondelku, natartym masłem i wysypanym bułeczką, układa się naprzemian masę białą i zieloną warstwami, zamyka formę i gotuje na parze godzinę. Pokrajany w plastry budyń otacza się na półmisku gęstym sosem śmietanowym z koperkiem.

ZAJĄC DUSZONY Z JARZYNAMI. Z nastaniem sezonu myśliwskiego, pani domu obdarzana trofeami myśliwskiemi najczęściej w postaci zająców — ma ich często po kilka wiszących w oknie spiżarni i wyczekujących swej kolei na brytwannie.

Zajęcza pieczeń dobra rzecz, ale ostatecznie uprzykrzy się wiecznie w ten sam sposób przyrządzana, t. j. upieczona w piecyku i podlana śmietaną. Spróbujmy przyprawić ją na sposób francuski, t. j. udusić ją na jarzynkach. Do tego celu nie musi być zając bajcowany, chyba że jest za stary. W tym wypadku musi się go zalać wrzącym octem z korzeniami i pozostawić przez kilka dni, aby skruszał. Czy zając jest młody poznać nie trudno. Ma ładną białą plamkę na czole, zęby białe i krótkie, a słuchy, t. j. uszy, tak delikatne, że łatwo się dają w palcach przedrzeć.

Młodą sztukę po obciągnięciu ze skóry i błon, oczyszczoną i szybko wymytą (nie śmie leżeć długo w wodzie!) rąbie się w kawałki i układa w rondlu na maśle i różnych drobno pokrajanych jarzynach, przykrywa szczelnie i dusi na wolnym ogniu, podlewając gorącą wodą, aby się nie przypaliło. Uduszone do miękkości kawałki, wyjmuje się z rondla, jarzynki wraz z sosem przeciera się przez sito, następnie wlewa napowrót do rondla, podprawia łyżką mąki, roztrzepanej w szklance wina czerwonego, wkłada napowrót mięso, zagotowuje i wydaje obłożone makaronem lub tartemi z masłem ziemniaczkami.

BISQUIT A LA CREME. 3 żółtka, łyżkę mąki, łyżkę cukru, rozkłucić w 1/4 l mleka, dodać kawałek wanilji i ubić na parze gęsty krem, nastepnie wystudzić wśród ciągłego ubijania. 10—12 biszkoptów posmarować poziomkową lub morelową konfiturą, złożyć po dwa razem, ułożyć na kryształowej misce, skropić rumem lub likierem, pokryć przygotowanym, wystudzonym kremem i wstawić na lód.

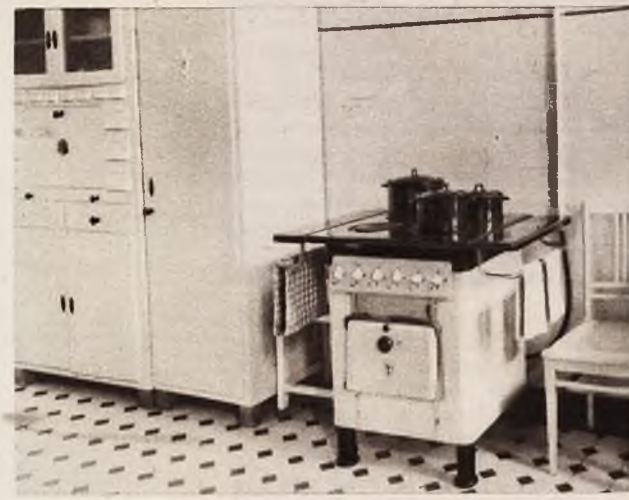
TORT POMADKOWY. Pół kg parzonych i obciągniętych z łupki migdałów, zemleć i zmięszać z tą samą ilością mączki cukrowej. Pół kg cukru z główki zalać 1/4 l wody i zagotować na gęsty syrop, wsypać migdały z cukrem, zagotować raz i ucierać następnie aż do zupełnego ostudzenia. Powstałą stąd białą masę dzieli się na trzy części; do jednej części dodaje się 10 dkg tartej dobrej czekolady i uciera na gładką masę, drugą zabarwia się sokiem z róż lub alkermasem na różowo, do trzeciej wciska się sok z 2 cytryn i wciera skórkę cytrynową. Formę tortową wykłada się opłatkami, układa najpierw część ciemną, potem na niej białą, wkońcu różową, przykrywa krążkiem drewnianym, obciąża i stawia w chłodnem miejscu. Na drugi dzień oblewa się tort lukrem cytrynowym, utartym na ogniu z cukru pudru i soku cytrynowego.

Sc. Ko.

Kawa słodowa Kneippa
dla dziecka najzdrowszy napój!

POLSKIE KUCHENKI ELEKTRYCZNE

W jednym z poprzednich numerów naszego tygodnika zamieściliśmy zdjęcia amerykańskich kuchni elektrycznych, które praktycznością swoją i ekonomiczną wyższością nad kuchniami węglowemi i gazowemi, zyskują coraz większe zastosowanie w domach amerykańskich. Także w Anglji i w Niemczech kuchnie elektryczne wysuwają się na pierwszy plan. Że i u nas nastawia się przemysł w tym kierunku świadczą nadesłane nam zdjęcia od inż. Trześniowskiego z Katowic, z których jedno reprodukujemy powyżej. Jest to kuchenka elektryczna wykonana całkowicie w Katowicach, gdzie niska cena prądu umożliwia ich szerokie zastosowanie.



7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd. / Tydzień 39	WRZESIEŃ — Dni 30
Niedziela **22** Maurycego 24 Elul	Zupa ragout. Rulada grzybkowa. Pieczeń sarnia z krokietami kruchymi i kompotem z brus nic. Bisquit á la créme. Kolacja: Zimna pieczeń z francuską sałatą.
Poniedziałek **23** Tekli 25 Elul	Rosół z ryżem wątrobianym. Sztuka mięsa z ostrym sosem á la diable. Zraziki naturalne z kaszką krakowską. Jabłka w szlafrok Kolacja: Gołąbki z ryżem.
Wtorek **24** Gerarda 26 Elul	Zupa fasolkowa z tartem ciastem. Budyń biał zielony. Wieprzowa polędwica z duszoną kapustą. Kompot z gruszek. Kolacja: Jaja pochés /w koszulkach/ w szarym sosie.
Środa **25** Władysława z G. 27 Elul	Zupa neapolitańska z ryżem. Nóżki lub główka cielęca smażona w cieście. Kuropatwy w słonince z bułczanemi kluskami i kompotem. Ptysie z kremem. Kolacja: Płatki z szynką.
Czwartek **26** Cyprjana, Ewar. 28 Elul	Zupa kalafiorowa. Bukiet jarzynowy. Pieczeń barania z marchewką lub włoską kapustą. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Hachée z mięsa rosołowego z sadzonemi jajami.
Piątek **27** Kosmy i Damiana 29 Elul	Zupa ogórkowa lub barszcz zabielany z jajem twardem. Kaszka zacierana z grzybkami. Smażona ryba z sałatą majonezową. Kompot śliwkowy. Kolacja: Wędzone ryby morskie, chleb, ser.
Sobota **28** Wacława kr. Tisz. N. R. 5696	Rosół Julienne. Sztuka mięsa z sosem pomidorowym. Pieczeń nerkowa z ogórkami. Strudel z jabłkami. Kolacja: Parówki w musztardowym sosie.

HOCKI-KLOCKI

„NOCNE ĆWICZENIA".



— Drogi Jasiu! Cóż to za maskarada?!...
— Powiedziałem żonie, że muszę iść na manewry...

ROZWIĄZANIA Z N-ru 29.

1. TRUDNOŚCI Z MEBLAMI.

Przestawienie fortepianu i szafy bibljotecznej można uskutecznić w siedemnastu ruchach (gdyż co do położenia pozostałych mebli niema żadnych wymagań). Kolejno należy przesuwać na wolne pole następujące numery mebli: 2, 5, 4, 2, 1, 3, 2, 4, 5, 1, 4, 2, 3, 4, 1, 5, 2.

2. NIEROZGARNIĘTY FORNAL.

Poszczególne worki ważyły kolejno 54, 56, 58, 59 i 62 kilogramy.

3. NA MANEWRACH.

W oddziale wojska było 15 przełożonych, z których czternastu było jednocześnie podwładnymi komendanta: 150+14=164.

4. LOT STRZAŁY.

Z punktu widzenia łucznika, strzała ze zwolna malejącą szybkością zakreśli parabolę i opadnie na ziemię, jednakże z punktu widzenia obserwatora, stojącego na ziemi, strzała spadnie pionowo na tor, bowiem w odniesieniu do ziemi jej szybkość pozioma będzie wynosić 0.

5. SZYBKOŚĆ MYŚLENIA.

Szmidt rozumował następująco: „Gdybym miał biały krzyż, Szwarc zdecydowałby, że ma niebieski, gdyż inaczej Szwarc musiałby widzieć dwa białe znaki i natychmiastby wyszedł; analogicznie Szwanz domyśliłby się odrazu, że ma niebieski, gdyż w przeciwnym razie Szwarc widziałby dwa białe krzyże i wyszedłby bez wahania. Ponieważ żaden z nich się nie rusza, więc muszę mieć znak niebieski".

Dokończenie ze str. 11-ej.

artystka. — Praca zawodowa mi na to nie pozwala. Ale zato nie odmawiam sobie nigdy popołudniowej drzemki. Wprawdzie większość kobiet obawia się tego jak ognia ze względu na linję, ale z konserwowaniem urody to jest tak, jak w tej anegdocie o dwóch dziewięćdziesięcioletnich staruszkach. Jeden twierdzi, że tylko dzięki bezwzględnej abstynencji zawdzięcza swą długowieczność, a drugi przechwala się, że całe życie pił, palił i hulał i dlatego tak długo żyje. Zabiegi kosmetyczne, to rzecz tak indywidualna!

— A pani jakim hołduje? — pytam ciekawie, podziwiając wspaniałą brzoskwiniową cerę artystki.

— Ja? Kosmetyków używam jak najmniej, zato jestem ogromną zwolenniczką wody i mydła. Codziennie wieczór zmywam twarz gorącą i zimną wodą oraz mydłem, naturalnie silnie przetłuszczonem. Pozatem na mojej toalecie stoi zawsze flaszka wódki...

W tem miejscu musiałam zrobić jakiś pocieszny grymas zakłopotania, bo moja miła rozmowczyni pośpiesza z wyjaśnieniem:

— Używam jej tylko zewnętrznie! Co parę dni zmywam twarz, zwykłą 45 proc. wódką tz. czystą. Doskonałe to poza tłuszczem, którego nigdy nie żałuję przy rozcharakteryzowaniu: oczyszcza skórę ze wszelkich nieczystości, na które twarz jest narażona w naszym zawodzie.

— Mój Boże — wzdycham z podziwem — tak proste środki, a taki cudowny skutek. No, a słońce? — pytam. — Czy je pani wyeliminowała ze swego „gabinetu" kosmetycznego?

— Ach, broń Boże! Słońce kocham nadewszystko i też zaliczam do rzędu pierwszorzędnych środków kosmetycznych. W miesiącach urlopowych, które zazwyczaj spędzam na Południu, oddaję się jego odżywczym promieniom niepodzielnie. Zachowuję jednakże pewną ostrożność w tym gorącym flircie. Nietylko podczas kąpieli słonecznych, ale pozatem przez cały dzień jestem stale porządnie wysmarowana zwykłą nicejską oliwą. W tym okresie nie używam nawet najniewinniejszego pudru! Uważam, że urlop należy się nietylko nerwom, ale i mojej skórze. I gdy tak odświeżona i wysłoneczniona wracam do nowej pracy, którą kocham i która daje mi pełnię zadowolenia wewnętrznego, zdaje mi się, że wyczerpałam całą skarbnicę środków upiększających i odmładzających!

Telefon... Z atelier komunikują, że czekają na panią Smosarską z próbnem wyświetlaniem nowego filmu „Dwie Joasie", który niebawem ukaże się na ekranach stolicy, a w którym artystka gra równocześnie dwie role.

Wytworna limuzyna gwiazdy filmowej unosi nas z ciszy i słońca w zgiełk i zamęt wielkiego miasta.

Zofja Ordyńska.

Dokończenie ze str. 15-ej.

Żywe machanie rękami podczas chodu jest wprawdzie nieestetyczne i nie dowodzi opanowania form towarzyskich, lecz zdradza ruchliwość, pełną zapału pilność, a jeżeli przytem chód jest lekki, to ruchliwość ramion cechuje idealistów. Natomiast ospale opuszczone ręce zdradzają bezwolność, zblazowanie, zobojętnienie i indolencję. Jeżeli niedbałość chodu i trzymania ramion cechuje pewna połączona z wdziękiem gracja, to tacy ludzie są na wszystko obojętni i niedbali. O prawdziwej depresji umysłu i usposobienia świadczy pochyłość ramion, połączona ze zgięciem kolan. Tacy ludzie wątpią we wszystko, nie mają zaufania do swych poczynań, nie wierzą w powodzenie w życiu. Jednostajnie obojętne tempo i nieruchome podczas chodu ręce świadczą o usposobieniu notorycznego pesymisty.

Człowiek, który trzyma głowę miernie wysoko podniesioną, uwypukla pierś, cofa ramiona i kroczy raźnie i pewnie, zdradza nieujarzmioną wolę, jest niezależny, nieustraszony, o wysokiem poczuciu honoru, dumny i pewny siebie. Lekkie pochylenie wprzód całej postaci oznacza zamiłowanie do piękna, szlachetność myśli, harmonijny, kulturalny charakter. Chód brzydki, niezgrabny i bryłowaty zdradza brak wychowania i nieumiejętność panowania nad swemi odruchami. Człowiek niezdecydowany stawia kroki drobne i chwiejne i nie dotyka obcasami ziemi. Uparciuch ściera kraje obcasów, pesymista zużywa podeszwę na szpicach. Równomierne stawianie nogi — przyczem obcasy niszczą się stosunkowo mało, — świadczą o energji i harmonji usposobienia.

Człowiek skłonny do kłótni, małostkowo uparty, nie zbacza z jednej linji i potrąci bodaj przechodnia, lecz nie ustąpi. Zazwyczaj trzyma się taki typ krańca trotuaru. Natomiast skryty i tchórzliwy osobnik chodzi zazwyczaj pod murem. Ludzie, potykający się w chodzie, wyrzucający nogi silnie nazewnątrz są to fantaści, na których nie można polegać. Natomiast ludzie uprzejmi i towarzyscy, jakkolwiek nie posiadający silnej woli, dostosowują się do kroków partnera i kroczą z nim w zgodnym rytmie, zdradzając poczucie porządku i dyscypliny.

Wszystkie te pozornie nieznaczne i drobne szczegóły prowadzą do odcyfrowania charakteru conajmniej tak nieomylnie, jak grafologja. A podobnie jak praca nad ulepszeniem, usystematyzowaniem i wyrównaniem pisma może wpłynąć korzystnie na poprawę charakteru, tak i opanowanie brzydkich właściwości chodu może uszlachetnić i ukształtować indywidualność. Zasada Sokratesa „Poznaj samego siebie" jest i w tym wypadku celowym i korzystnym wskaźnikiem w życiu.

Dr. W. Paulin.

To warto poznać..

CO CZYTAĆ?

Z nowych książek autorów polskich zasługuje na poznanie przedewszystkiem powieść **Poli Gojawiczyńskiej „Dziewczęta z Nowolipek“** (Wyd. „Rój“). Po „Ziemi Elżbiety“, malującej wyraziście życie Śląska, przeniosła nas teraz autorka w atmosferę przedwojennej i wojennej Warszawy. Dzieje kilkorga dziewcząt z Nowolipek i Mylnej w dzielnicy żydowskiej, pozornie nieciekawe i nudne, umiała autorka tak plastycznie i żywo przedstawić, że książka nietylko nas interesuje, ale porywa w miarę rozwijającej się akcji, gdy dziewczęta z Nowolipek wychodzą na „szeroki świat“, na Plac Bankowy, a nawet na Marszałkowską, na tajne komplety. Dole bohaterek, dzieci podwórza i ulicy są nam bliskie, liryczne opisy ich przeżyć wywierają silny urok, a drobiazgowe malowanie szczegółów świadczy o spostrzegawczości, czujności i talencie powieściopisarskim autorki, który umie budować i analizować.

Boy-Żeleński „wydawca mimowoli“ (jak się sam raz nazwał) swych wspaniałych przekładów arcydzieł literatury francuskiej został zmuszony do zawieszenia wydawnictw **„Bibljoteki Boya“**. Miejmy jednak nadzieję, że czytelnicy nie dopuszczą do zamknięcia tej placówki wydawniczej, świadczącej jedynie o kulturze polskiego społeczeństwa i że najświeższe tomy **„Komedji ludzkiej“ Balzaca**, jakie się ukazały w przekładzie i opracowaniu Boya nie będą ostatniemi. Znajdujemy tu świetne: „Honoryna. Studjum kobiety, Pani Firmiani, Zlecenie“.

Młodzież szkolna z radością „jednym tchem“ przeczytała powieść **Stefana Łosia „Szajka“**, ilustr. przez W. Czarneckiego. („Nasza Księgarnia“, Warszawa). Miła kronika zabawnych figli szkolnych szajki uczniaków, którzy chwytają za broń, by w r. 1918 zwyciężyć Niemców, okupujących jedno z miasteczek nad Wisłą, — jest wspomnieniem wielu autentycznych przeżyć autora.

Znakomity pisarz rosyjski **Aleksy Tołstoj** opublikował nową książkę, która pokazuje nam tragiczne lata wojny oraz rewolucji bolszewickiej. Pierwsza część tej powieści p. t. **„Siostry“** zjawiła się w polskim przekładzie Władysława Broniewskiego (Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa, 1935). Książka ta, napisana z ogromnym rozmachem i barwnością obrazów, rozwija akcję w sposób niezmiernie interesujący, to też spodziewać się należy, że dalsze części tej trylogji znajdą również dobre przyjęcie u czytelników, jak jej początek.

(swb.).



W Warszawie teatry T. K. K. T. nie rozpoczęły jeszcze nowego sezonu, darząc publiczność wciąż repertuarem letnim, choć już „północ mrozem dmucha...“ Krytycy przypuścili wielki atak na ów letni błahy repertuar teatrów Narodowego, Polskiego i in., ale publiczność tłumnie chodzi na zwalczane sztuki. Więc kto ma słuszność?

Marja Malicka i Sawan, po objeździe miast prowincjonalnych, założyli w Warszawie własny teatr i grają w nim we dwójkę sztukę R. Niewiarowicza **„I co z takim zrobić“...**

Teatr Wielki we Lwowie gra **„Muzykę na ulicy“**, a Teatr Wielki w Wilnie **„Wszystkie prawa zastrzeżone“**, a więc również czołowe sceny Lwowa i Wilnie tkwią w repertuarze „letnim“.



Junosza-Stępowski w roli Henryka IV.

Kazimierz Junosza-Stępowski, jeden z najznakomitszych artystów scen polskich i europejskich, rozpoczął w **Krakowie** cykl gościnnych występów, dając na początek swą wspaniałą, wstrząsającą kreację w **„Henryku IV“** Pirandella i rozkoszną postać ramolcia w **„Azals“**. Przedstawienie „Henryk IV“ zostało znakomicie pod względem reżyserskim i dekoracyjnym opracowane przez dyr. K. Frycza, a cały zespół, z Izą Kozłowską, Biegańskim, Macherskim na czele, gra świetnie. (swb)

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela 22 IX. 1935.

9.15: Muzyka.
10.00: Nabożeństwo.
12.03: Przegląd teatralny.
12.15: Poranek muzyczny.
13.00: Słuchowisko.
15.00: Godzina rolnika.
16.00: „Jak się uczył Stephenson“ — dla dzieci.
16.15: „Miniatury kwartetowe“ — z Krakowa.
17.00 Muzyka taneczna.
17.40: Regjonalna audycja muzyczna.
*18.30: Słuchowisko p. t. „Dziwny sen pana Łukasza“.
19.10: Koncert i sport.
19.45: „Co czytać?“
20.00: Koncert.
20.45: Pisma Józefa Piłsudskiego.
21.00: Wesoła Fala.
21.45: Wiadomości sportowe.
22.00: Muzyka.

Poniedziałek. 23 IX. 1935.

12.15: Koncert.
13.25: Chwilka dla kobiet.
15.30: Muzyka lekka.
16.15: Muzyka salonowa.
16.45: „Bilans wakacyjny“ — skecz.
17.00: Higjena mieszkania — pogadanka.
17.20: S. Prokofjew: Kwintet na flet, obój, klarnet, waltornię i fagot.
18.00: Pieśni amerykańskie w wyk. Janiny Kay-Kuczyńskiej.
18.40: „Życie kulturalne i artystyczne stolicy“.
19.20: Koncert.
19.35: Wiadomości sportowe.
20.00: Muzyka lekka.
21.00: Recital fortepianowy.
21.50: Wieczór literacki.
22.00: Koncert symfoniczny.
23.00: Muzyka taneczna.

Wtorek, 24 IX. 1935.

12.35: Muzyka lekka.
13.25: Chwilka dla kobiet.
15.15: Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie.
15.30: Muzyka salonowa.
16.45: „Cała Polska śpiewa“.
17.15: Koncert.
18.00: Muzyka lekka.
18.30: „Współczesna powieść historyczna w Polsce“ — szkic.
19.20: Koncert.
19.35: Wiadomości sportowe.
20.00: Operetka Offenbacha.
21.05: Koncert.
22.30: „Młodzieńcza miłość mieszczańskiego króla“ — feljeton.
22.45: Muzyka taneczna.

Środa, 25 IX. 1935.

12.15: „Mądra i niemądra miłość macierzyńska“ — pogadanka.
12.30: Koncert solistów.
13.25: Chwilka dla kobiet.
15.15: Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim.
15.30: Muzyka lekka.
17.00: „Na białoruskich rojstach“ Reportaż.
17.50: „Świat się śmieje“.
18.00: Koncert.
18.45: Muzyka lekka.
19.20: Koncert.
19.35: Wiadomości sportowe.
20.00: Muzyka lekka.
21.00: IV audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina“ (1810—1849).
21.35: „Znamiona polskości Conrada“.
23.05: Muzyka taneczna.

Czwartek, 26 IX. 1935.

13.00: Koncert.
13.25: Chwilka dla kobiet.
15.30: Koncert zespołu Niny Mańskiej.
16.15: Koncert mandolinistów.
17.00: „Rozwój programowy socjalizmu polskiego „Odczyt“.
17.15: Koncert.
17.50: O książce Sokołowskiego „Ptaki“ odczyt prof. St. Sumińskiej.
18.30: Film, plastyka, architektura.
18.45: „Król jazzu“ płyty.
19.35: Wiadomości sportowe.
20.00: Muzyka lekka.
21.00: Słuchowisko.
21.35: Nasze pieśni.
22.35: Muzyka lekka i taneczna.

Piątek, 27 IX. 1935.

12.40: Koncert.
13.25: Chwilka dla kobiet.
15.15: Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie.
15.30: Muzyka lekka.
16.15: Koncert ze Lwowa.
17.00: Reportaż.
17.20: Recital skrzypcowy.
17.50: Poradnik sportowy.
18.00: Wesoła audycja muzyczna.
18.40: „Życie kulturalne i artystyczne stolicy“.
19.25: „Purytanie“ — opera Belliniego.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.15: Muzyka lekka.
22.45: Muzyka taneczna.

Sobota, 28 IX. 1935.

12.15: Koncert.
13.25: Chwilka dla kobiet.
14.30: Utwory fortepianowe.
15.00: „Kłopoty redaktora“ Bolesława Prusa.
15.25: Nasz handel morski.
16.15: Utwory na gitarę.
17.00: „Jak umocnić gospodarczą samodzielność Polski?“: Walka z bezrobociem i marnotrawstwem pracy“ — odczyt.
17.15: Nowości z płyt.
17.45: „Świat naszych zwierząt“ pogadanka.
18.30: Przegląd wydawnictw.
19.20: Koncert.
20.00: Muzyka lekka.
21.30: Humor regjonalny (z Krakowa).
22.00: Koncert orkiestry P. R.
23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.